

Emil i Maryla  
Krystyna Kolińska

Część pierwsza  
POWROTY

## WPROWADZENIE

W jednym z nowoczesnych dużych bloków mieszka na ostatnim piętrze córka Marii. Z okna rozpościera się widok na puste jeszcze, rozorane koparkami pola z ciemnozieloną linią gęstwiny działkowych ogródków na horyzoncie.

Asparagusy, paprocie, egzotyczne kwiaty wynurzające się spośród mięsistych kosmatych liści. Za szybą loggi, w najbardziej nasłonecznionym jej rogu niedostępnym wiatrom, barwią się błękitnoróżowe clematisy. Na ścianach obrazy — też z kwiatami. Są i portrety. Na jednym z nich Ona — Maryla — namalowana przez znanego przedwojennego artystę.

W starych szkicownikach kreślone cienkim piórkiem i tuszem rysunki ścielą się w fantastyczne ornamenty, tworzą secesyjne sploty liści, gałązek, kwietne kompozycje. Na brzołowych arkuszach — studia modeli, głów, rąk, ołówkowe karykatury żołnierzy z okresu I wojny światowej. Autorką tej malarsko-rysunkowej spuścizny jest także Maryla.

Pozostały również wiersze pisane jej ręką. Kochała poezję i sama próbowała tworzyć. Niektóre z tych utworów są owocem ówczesnych dziewczęcych nastrojów:

Dziś litościwa królowna złuda

Wiodła mnie w baśni złociste kręgi

Maleńki sadek rozesnuł cuda

Cuda wiosennej cichej potęgi

Zamknięty w murów kwadrat ponury

Rozzłocił serca, rozzłocił mury...

Przez uchylone okno wpada ciepły podmuch wiatru. Porusza rozłożone na stole kartki; drgające światełka słońca ożywiają nieruchomość starych fotografii wydobytych z drewnianej szkatuły o mosiężnych okuciacz na rogach.

Osobna skrzyneczka kryje pamiętnik bohaterki. To on, wyniesiony kochającymi rękami w bezpieczne miejsce z odmętów nieprzyjaznych dla relikwów przeszłości czasów, odkrywa dzisiaj swe sekrety.

Maryla Wrzosek zaczęła go pisać, gdy miała niewiele ponad szesnaście lat. Prowadziła go z przerwami od lutego 1914 roku. Zachowały się dwa zeszyty w sztywnych okładkach oklejonych ciemnym marmurkowym papierem spośród ośmiu ongiś istniejących. Wiele kart wyrwanych, pozakreślanych, ale te, które przetrwały, dają wyrazisty obraz ówczesnej polskiej dziewczyny, wychowanej w patriotycznych tradycjach, wrażliwej, może czasami nadwrażliwej, skłonnej do bezkrytycznego entuzjazmu, ale równocześnie do ostrych sądów; i to nie tylko o rówieśnikach, ale i o sobie samej. Analizy, autoanalizy... Zrazu mocno egzaltowana, nieco próżna, o cechach egocentryczki, przez pracę nad sobą zmienia się w osobę zdolną do wyrzeczeń, do służby potrzebującym.

„Kim ja jestem? Czego chcę? Dokąd dążę?” — pytania te zadaje sobie raz po raz. Kiedyś zachorowała na zapalenie stawów. „Z bólu oka nie zmrużyłam — notuje w pamiętniku. — Gdy ktoś siedział przy mnie, przekładał mi poduszki, podnosił tę nieszczęśliwą nogę, zagadywał — wtedy czułam ulgę. Zrozumiałam wówczas, jak wiele można chorym pomóc, jak ogromne wyświadczyć im dobrodziejstwo choćby takim czuwaniem przy nich. I podczas jednej z takich nocy, czarnych nocy męczarni, gdy nikogo przy mnie nie było, tylko twarz księżycy drwiąco patrzyła na mnie przez okno — przyszła myśl jak z nieba zesłana: zostać siostrą miłosierdzia, poświęcić życie całe kojeniu bólu, pocieszaniu nieszczęśliwych, niesieniu pomocy cierpiącym; brać, jak powiada Żeromski, dusze ludzkie ostrożnie i pobożnie w ręce jak biedne, pogniecione, więdące kwiaty. Zadanie

„cudne, jedyne. I pamiętam, jak nocy tej strasznej dziwna jakaś, szalona żądza poświęcenia się rozpierała mi piersi”.

To pragnienie, ubrane stylistycznie w szatę egzaltacji, nic było przelotnym tylko, dziewczęcym kaprysem. Spełniła je potem czynem i pracą sanitariuszki.

Pełna patriotycznych uniesień — nawet legionowego poetę Józefa Englichta pokochała poprzez wiersze, zanim go osobiście poznała — wrażliwa jest na wszystko, co wiąże się ze słowem:

Ojczyzna. We wczesnych latach młodości była chyba, sądząc z pensjonarskich zapisków, o wiele bardziej niż jej szkolni koledzy „uczulona na Polskę”, na chęć służenia jej w jakiegokolwiek postaci. Atmosfera domu, rodzinne tradycje odegrały tu niebagatelną rolę. W początkach lutego 1915 roku pisze w swym pamiętniku słowa będące odbiciem nie tylko jej pensjonarskich marzeń: „Spełniła się ta bajka stara, wysniona, którąśmy wszyscy nad kołyską słyszeli, którą pokolenie pokoleniu przekazywało: oto na polskiej ziemi walczy Wojsko Polskie o Polski... niepodległość.

O chwili tej marzyłam już od lat tyłu i widziałam ją w swej wyobraźni. Dziecięca moja fantazja, rozbudzona opowiadaniem babki, dziadka, rodziców i czytaniem, a także i krwawymi wypadkami w 1905-6, wysnuwała obrazy, na tle których widziałam siebie zawsze wśród walki trzymającą sztandar z białym orłem (...). Lecz to było bardzo dawno. Z czasem, w miarę jak rosłam i inteligentniałam, ta baśń wysniona, którą wciąż piastowałam w duszy, z wolna zaczynała się przerażać i zmieniać kształty... Dziecięca naiwna ambicja, która wprawdzie górowała w tych marzeniach moich, ustąpiła miejsca poważniejszej i realniejszej myśli. Wiedziałam, że do tej walki o niepodległość przyjść musi,

I pragnęłam tej walki, nie przez egoizm już, nie przez chęć stania się podziwianą bohaterką (...), nie przez heroiczne czyny, bo niezdolna jestem do nich, ale przez mrówczą pracowitość”.

„9 listopada 1918 - sobota, 7.00 rano” - ta szczegółowa data kończy kilkustronicowy tego dnia zapis; cienkie ostrze kłosa wprowadza ostatnie zdanie aż na tekturową okładkę.

Cały ten pamiętnik, choć nie pozbawiony młodzieńczej egzaltacji, świadczy nie tylko o uzdolnieniach literackich, artystycznych, ale i o wielkim patriotyzmie dziewczyny. Te sny o wolnej Ojczyźnie, zapewnienia płynące z autentycznych uczuć: Wszystko, co nasze, Polsce oddamy...

Córki Maryli udostępniły mi nie tylko ów rękopiśmienny pamiętnik, ale i wiele bezcennych materiałów mówiących o późniejszym okresie życia matki, o jej miłości do znanego poety w latach trzydziestych, o męczeńskiej śmierci w czasie okupacji.

Udostępniając mi rodzinne dokumentalne pamiętki z okresu, gdy Maryla była już kobietą dojrzałą, obiektem gorących, namiętnych uczuć poety, a zarazem adresatką jego wielu wierszy, strzelistych apostrofów, córki jej miały zapewne jedno, jakże słuszne pragnienie: aby matka ukazała się w całej swej psychologicznej prawdzie, bez uproszczeń, nie kwitowana lakonicznie, z odcieniem lekceważenia, jak zdarzyło się to na przykład w pewnej opublikowanej pracy biograficznej poświęconej ukochanemu Milowi - jak go zwał - „Srebrem zapisanemu”.

Tym poetą bowiem był Emil Zegadłowicz. „Mil, jedyna wielka miłość mego opacznego życia” — pisała do jednego z przyjaciół autora. Stworzył dla niej i o niej wioło strof wierszy wydanych jedynie w pięciu egzemplarzach przez typografa Jana Kuglina. Tomikowi tych erotyków poeta nadał tytuł „Wrzosa” - na pamiątkę wspólnych wędrówek po wrzosowych polach; zawsze był to ulubiony kwiat Maryli. Adresatka poematów była już wówczas mężatką żyjącą w separacji, matką trojga dzieci. Poeta znał prawdę, a może się jej raczej domyślał, o niedobrym związku. W dramacie „Pokój dziecinny”, napisanym w 1934 roku, dał temu wyraz, wplatając w tekst pełny gniewu, obsesyjny, a nawet obsceniczny poemat, który nazwał z sarkazmem „Wielką improwizacją”. Rozprawił się tam bezlitośnie nie tylko z byłym mężem Maryli, ale też i ze ślepym błogostanem i niedostrzeganiem nabrzmiałych problemów społecznych w owych trzydziestych latach.

„Rodzina pani Marii wielce zacna, z tradycjami, z nieskazitelną opinią i nagle taka sprawa”, szemrano. Jej — zafascynowanej poezją, upojonej tym, że jest natchnieniem do nowych wierszy, oszołomionej nie tylko gwałtowną namiętnością poety z Gorzenia, ale i odkrywaniem przed nią nowych obszarów, nie znanych jej dotąd myśli - było to obojętne.

Gdy dzięki relacjom osób najbliższych Marii, dzięki listom jej i do niej pisanym, zarysowała się

osobowość bohaterki, przestała mnie dziwić owa wielka fascynacja - poetą. Zbyt wielka była bowiem uciążliwość niedobranego związku; jej małżeństwo z pięknym oficerem, zawarte z miłości, początkowo szczęśliwe, nie mogło na długo stać się spokojną, czarowną przystanią. Po krótkim okresie fascynacji, gdy dziecinka jeszcze wyobraźnia malowała jej kolorowe pejzaże przyszłości, Maria zaczęła dostrzegać, jak bardzo różnią się oboje, jak inne są ich cele, zamiłowania, jak odmienne sposoby na życie.

Takiej kobiecie jak ona, obdarzonej silną indywidualnością, posiadające szeroko rozbudowane życie uczuciowe i zmysłowość, łatwiej było jednak niż innym mężatkom w podobnej sytuacji znaleźć w sobie siłę do śmiałego jak na owe czasy rozwiązania sprawy. W sukurs przyszła jej przy tym sama epoka z odrębnymi nieco niż dziewiętnastowieczne normami obyczajowymi.

Rozwód, trud wychowania trójki dzieci... Dopiero potem zrodziła się miłość do poety, wzajemna, gorąca, „na wieki”. Otoczyła ją wówczas atmosfera niedomówień, skrytych uśmieszków, plotek... Historia dla wielu ludzi z jej środowiska, jej otoczenia, nieco wstydliva, gorsząca nawet. Maryla nie umiała i nie chciała ukrywać tego nieformalnego związku.

Miłość „na wieki” ze strony Zegadłowicza okazała się namiętnością na kilka zaledwie lat... Ona nadal była wierna, jeśli już nie miłości, to przyjaźni. Przyszło cierpienie, a w kilka lat potem, w czasie ostatniej wojny, jeszcze innego rodzaju próba charakteru, tym razem w warunkach najstraszliwszych, jakie człowiek mógł zgotować człowiekowi. Jej hart, wrodzony optymizm, dobroć, stanowiły pokrzepienie dla współtowarzyszek udreki. Ten egzamin z prawdziwie głębokiej miłości ojczyzny i bliźniego Maria de domo Wrzosek zdała celująco. Z okresu tego zostały maleńkie kartki — więzienne grypsy przez nią pisane; kiedyś rozmokłe w wodzie, pokryły się niebieskawymi smużkami od rozpuszczonego kopiowego ołówka.

Przepłynęły lata, odeszli ludzie... Imienniki, fotografie, zapiski, swoiste diariusze, listy, miłosne zwierzenia, strofy o przyjaźni, teksty więziennych pieśni o nadziei, wiadomości przesyłane w grypsach dla najbliższych...

Przeglądam i czytam wszystkie te papiery - wątle niekiedy są to bibułki - i przeżywam wraz z adresatami i nadawcami tamte dni...

Właściwie mało jest tego materiału - można zaledwie wypełnić jedną szufladę sekretarzyka — a tak wiele mieści on w sobie... Może zbyt wiele! Jak na jeden polski los, jak na kilku zaledwie bohaterów mojej opowieści.

Ja — Maria Wrzosek

Ja, Maria Wrzosek, urodziłam się 17 lutego 1898 roku w Tarnowie. Moi rodzice: Stanisław i Anna Wrzoskowie; nazwisko panieńskie matki - Chrzanowska. Lata dzieciństwa spędziłam w majątku Kębliny, potem w Częstochowie, gdzie ojciec był pracownikiem gazowni. W 1905 roku znalazłam się wraz z rodzicami

Zagłębiu Dąbrowskim. Ojciec pracował w Będzinie jako nauczyciel języka polskiego. Z chwilą formowania się Legionów, ruszył na front. Ja uczęszczałam do szkoły w Krakowie, krótko na pensję we Lwowie, a potem ze względu na stan zdrowia młodszej siostry Jagody do gimnazjum w Zakopanem. Z rodzeństwa byłam najstarszą; imiona moich kolejnych młodszych siostr: Jadwiga (Jagoda), Anna i Barbara. Mój stan cywilny - panna. Wykształcenie - niepełne średnie...

Tak wyglądałby zapewne życiorys kilkunastoletniej Marii Wrzoskówny, gdyby musiała napisać go jako załącznik do prośby o przyjęcie w szeregi siostr sanitariuszek. Dodatkowe informacje, nie mieszczące się już w urzędowej formule krótkiej autobiografii, ukazałyby nam jeszcze Marię jako dziewczynę przedsiębiorczą, pełną fantazji, ambitną, samodzielną, choć na ogół łatwo ulegającą autorytetom innych, z pewną skłonnością do nieco aktorskiego efekciarstwa, chęcią pokazania się w romantycznej scenerii, przodowania w różnego rodzaju konkurencjach, dążącą do niezwykłości, wyrastającą ponad przeciętny poziom.

Wierna jest pewnemu typowi bohatera, romantycznym i neoromantycznym wzorcom literackim. W pamiętniku nieraz pobrzmiewają reminiscencje z lektur utworów Sienkiewicza, Żeromskiego. Rozczytuje się w poezji. Szczególnie bliski jest jej Słowacki, uwielbia Wyspiańskiego.

Wykładnikiem uczuć patriotycznych młodej panny, pomnożonych przez pełne nadziei ówczesne nastroje, stało się też zainteresowanie poetami. Frapuje ją nie tyle ich talent, ile zaangażowanie w sprawy aktualnie żywo wszystkich obchodzące. Urzekają ją więc bardowie legionowi: Mączka, Englicht. Do nich przykłada miarę własnych o wysokiej temperaturze uniesień.

Pokarmem jej bywały także utrwalone pokoleniową tradycją dawne opowiadania, powieści, czytanki historyczne, szkice malarskie, rysunki różnorodnych mistrzów pędzla i ołówka. Wszystko to potęgowało uwielbienie dla obrazów dawnej świetności polskich dziejów, dla romantycznych bohaterów mierzących siły na zamiary, rodziło chęć do ich naśladowania. Nie było tam miejsca dla aptekarskich wyważań, koniunkturalnych miar. Zawsze tylko... wysoki błękit nieba dla uskrzydłonych marzeń. A były one dość typowe dla młodych dziewcząt tamtych czasów i miały na ogół symboliczny: płomienny koloryt.

A więc miłość! Poświęca się jej w pamiętniku wiele miejsca, i to zarówno tej abstrakcyjnej, jak i kierującej się ku konkretnym obiektom. A poza tym ileż jaszczce jest tam zmieniających się jak marcowa pogoda nastrojów. Te tęsknoty mniej lub więcej określone, melancholijne zadumy. Mglisto, dżdżysto i nagle - żywiołowa chęć działania, samo działanie. Wtedy z żarliwością odrzuca się pewne formy egzystencji, nie daje się zgody na oportunizm, na obłudę, na płytki materializm, koniunkturalne prądy w świecie dorosłych, ostro rozprawia się z własnymi niedoskonałościami. Rozrachunki z samą sobą i z otaczającym światem. Egocentryzm przeplata się z namiętym pragnieniem poświęceń. Ciągłe podejmowane próby samookreślenia się, znalezienia swego miejsca w życiu. Aktualnie widzi je Maryla w wypełnianiu zadań narzuconych przez historyczny czas i własne serce, któremu odda zawsze - teraz i w przyszłości - pierwszeństwo.

Tak więc już w tamtych latach można było przewidzieć, że zakochać się będzie zdolna tylko w poecie albo w żołnierzu i że wybierze służbę „dla chwały Ojczyzny”, nawet tę najcięższą.

Wrodzona czułość, dobroć i wrażliwość Marii na niedolę słabszych każe jej pojrzeć także w stronę opuszczonych sierot, być przy osamotnionej matce.

Wczytując się w pamiętnik, poznając źródła motywów jej postępowania, widzi się trud dziewczyny, aby przemienić je w jeden klarowny nurt: służby dla wymarzonej Ojczyzny, dla jej obrońców, poświęcenia dla idei. Tą atmosferą oddychała w domu.

Rodzina zarówno ze strony matki, jak i ojca osadzona była przez los i uwarunkowania historyczne na pograniczu drobnej szlachty i pracującej inteligencji. Swoim stosunkiem do przeszłości nie wyróżniała się wówczas spośród wielu innych polskich rodzin: romantyzm myśli i uczuć, wyzwolenicza wojna, marzenia o wolności, głęboko zakorzeniony szacunek dla relikwii przeszłości, dla symboli narodowych, w których widzi się źródło siły moralnej, krzepiącej, a zarazem i prowokującej do czynów, do wskrzeszania tego, co w dziejach ojców wydawało się być chlubne, opromienione blaskiem potęgi i chwały. Równocześnie jednak otaczająca ich rzeczywistość, pozycja ludzi pracy stykających się na co dzień nie tylko z przysłowiowym białym dworkiem wśród swojskich lip, z lawendowymi zapachami szuflad dziedzicznych komódek, musiała zmuszać do obserwacji tego, co napierało zewsząd burzliwą falą, podmywającą stare zwiędłe fundamenty, kruszącą się konstrukcję. Owego procesu dojrzewania, dorastania nie można już było przeżywać na statusie tylko spadkobiercy dawnych świetności, dawnych mitów.

Czyn! Wyzwolenie Ojczyzny! - najważniejsze wtedy było to hasło, jednoczące rodaków podzielonych zaborami nie tylko w sensie formalnym, ale i psychicznym, rozbitych różnymi orientacjami, odrębnymi sposobami na egzystencję i innymi często spojrzeniami na przyszłość narodu. Uchwycenie możliwości, jakie rodziły się w wojennej rozgrywce zaborców, rzucanie własnej polskiej karty na stół w oczach znacznej części Polaków stanowiło wielką szansę w tej grze. Inne palące sprawy, nieprawidłowości społeczne, które ostro dawały o sobie znać - i dawniej, przed niespełną dziesięć laty, i teraz - mogły w odczuciu większości poczekać, zapalne i nabrzmiałe, aby znaleźć ujście przy braterskich zwadach, radach, na wolnej już własnej przestrzeni. Nasza bohaterka ulegała klimatowi rodzinnego domu i ogólnym nastrojom, propagując przy tym często młodzieńczą naiwnością i zadufaniem, szczerze, żywiołowo, owe dorosłe myśli według politycznej orientacji innych, z przekonaniem, że są to jej własne. Pamiętnik Maryli Wrzosek, będący pewnego rodzaju dokumentem także i osobistych (niepokojów wieku dorastania,

przetwarzania się z dziecka w dorosłą dziewczynę, ze wszystkimi właściwymi temu okresowi atrybutami, jest równocześnie odbiciem ideologicznego wpływu ojca legionisty, który wraz z I Brygadą, z towarzyszącymi walk i wspólnych losów, śpiewa w „strzeleckiej gromadzie”, że „na stos rzuciliśmy swój życia los”.

Pewne sformułowania użyte na stronach rękopisu, pewne głoszone tam poglądy, słowne ataki i zacięta obrona własnych (to jest ojcowych) racji w gronie rówieśników świadczą, że sądom usłyszanym z ust bliskich osób, ich opiniom, poglądom, poddała się na długo z właściwą sobie egzaltowaną żarliwością.

Ow pamiętnik zaczęła pisać w Zakopanem, w „ciemny, zadeszczony dzień zasłaniający brudnymi postrzępionymi płachtami mgieł góry”, zwierając się tam z myśli, uczuć i odczuć, które stopniowo, w znacznie później szych już latach, staną się częścią jej psychicznej natury. A że działo się to w czasach ciekawych, więc pamiętnik jest też zarazem dokumentem epoki, rejestrującym dokonujące się na przestrzeni tych kilku lat I wojny światowej przemiany widziane oczami inteligentnej i wrażliwej obserwatorce, przedstawicielce części ówczesnej młodzieży.

Ważkie refleksje przeplatają się tam z pensjonarskimi błahostkami, z jakąś egzaltowaną myślą i uczuciem do jakiegoś Leszka, mieszkającego jak i ona na stacji u pani Niewińskiej. Autoanalizy, psychodramy bez mała, mieszają się z uwagami na tematy ogólne. Obok romantycznego obrazu rozkwitającej pierwszej miłości widnieje surowy rysunek szarych dni służby w żołnierskim szpitalu.

Zamiast opisanie, omówienia całej treści pamiętnika, przedstawmy pewne jego fragmenty, uszeregujmy je pod kilku aspektami, aby określiły naszą bohaterkę: jaka jest (w rozdziale: „Jaka jestem”), ukazały w gronie rówieśników, i jako zakochaną, pewnego rodzaju egotyczkę, i jako ofiarną sanitariuszkę.

Jaka jestem?

Nie lubię robić rachunków sumienia. Znam już dobrze ten głos, krzyczący głos w mej duszy: „To nie jest życie! Ty nie żyjesz, ale wegetujesz w ten sposób, tak z dnia na dzień, monotonicznie, bez myśli i bez celu! Ty dni zabijasz, ale nie przeżywasz ich. Czyń coś! Działaj!”

(...) Tak mi czasem bezdennie żal, że nie mam wielkiego talentu poetyckiego. Zdaje mi się, że to krzywda Ha dla mnie. Jeśli nie wielki talent, to powinnam przynajmniej mieć taki niewielki talencik, choćby tylko dla siebie. Ja przecież tak szalenie kocham poezję i umiem ją odczuwać - tak jak poezji nie kocham ani sztuk pięknych, ani muzyki, ani natury, ani ludzi.

Przepadam za ładną deklamacją. (...) Lubię deklamować zupełnie sama, dla siebie tylko, w zamkniętym pokoju albo też w lesie gdzieś się zaszływszy. Czasem kładę na siebie jakieś fantastyczne stroje (na które zresztą składają się zwykle: koszula nocna, jakieś woale, krajki i korale) i deklamuję przed lustrem wieczorem w fantastycznym oświetleniu (lampy postawionej pod stołem). (...) Zdaje mi się, że będąc już zupełnie dorosłą, a może i starą, zawsze będę mieć w sobie coś z dziewczynki.

(...) Czym ja podbijam ludzi i za co mnie lubią? Nie doprawdy. Nie jestem ładna, widzę to doskonale, pospolita jestem, taka jakich jest tysiące, nie jestem wcale taka dobra, choć o to się staram. Tak często zdarza mi się unieść gniewem lub nie wyzyskać zdarzającej się sposobności, by komuś czynić dobrze. A przecież lubią mnie ludzie. Dobrzy oni są, psują mnie.

(...) Wczoraj miałam poważną rozmowę z Jagodą. Widzę, że jest ona doskonałą obserwatorką, poznała mnie i otaksowała jak chyba nikt inny. To dziwne, ale gdy Jagoda rozmawia ze mną, wydaje mi się osobą zupełnie dorosłą, doświadczoną i o wiele mądrzejszą ode mnie. Zresztą jest ona taką rzeczywiście. Ona zaś traktuje mnie w takich chwilach jak dziecko. Swoją drogą może to jest brak ambicji, ale zupełnie w tych wypadkach poddaję się jej wpływowi i daję sobą powodować. I w tym wypadku przyznaję jej rację, ale czy zastosuję się do tego — nie wiem; tak mało mam silnej woli. Otóż zwróciła mi Jagoda uwagę, że ja mam, jak się wyraziła, pasję wystawiania się w gorszym świetle, niż jestem naprawdę. „Szczególnie - mówiła - gdy jesteś, Marysiu, w większym towarzystwie, stajesz się dla mnie wprost niesmaczna. Przede wszystkim nie jesteś sobą. Nieszczercze się śmiejesz, dużo mówisz, mało zresztą zwracając uwagi na to, co mówisz, przy tym

rzucasz naokoło takie spojrzenia, aż przykro patrzę na ciebie. Dla mnie takie to przykre, gdy pomyślę, że moja siostra może być tak pospolitą kokietką i typową gąską". (...) Może to i prawda. Taką jestem i koniec. Za mało mam indywidualności, żebym sobie sama wystarczyć mogła, za mało mam zdolności do refleksji, żebym mogła się zadowolić tylko sobą i myślami swymi. (...) Przed paru dniami odbył się nasz szkolny wieczorek, na którym miałam słowo wstępne. Och, jak to było miło i cudnie. Stałam na estradzie, a przede mną w dole takie masy, masy ludzi. Wszyscy mnie słuchają. Ja mówię, staram się głosowi memu nadać siłę, czuję, że twarz mi płonie. A potem — oklaski, oklaski, oklaski, burza oklasków. Potem ktoś mi ściska ręce, ktoś coś mówi, wieszkuje. Ja nic nie rozumiem, co mówią do mnie, ale jestem tym wszystkim upojona. Czemuż to już minęło?... Więcej chwil takich!

(...) Jestem dziś zła, zła, zła... Dlaczego nie funkcjonuje czasem w moim mózgu ani jedna komóreczka zdrowego rozsądku. Dużą rolę gra u mnie często chęć gonienia za efektem, blichtrzem. Zawsze to miałam, już jako małe dziecko, i niestety jest to jeszcze do dziś, zdaję sobie z tego sprawę dokładnie. Pociąga mnie zawsze pewnego rodzaju niezwykłość, nie pozbawiona zresztą uroku przygody...

Błuzniłam wczoraj nazywając się nieszczęśliwą. Nieszczęśliwy był Staś Rubczyński, zmarły w piętnastym roku życia po okropnej, długiej chorobie gruźliczości i po odjęciu nogi. Nieszczęśliwym był Fleszar, do samobójstwa doprowadzony straszną rozpaczą na wieść o rozbijaniu Legionów.

Wydaje mi się, że nastąpiła we mnie pewna zmiana. Widzę, że dotychczasowe ładne, ale i dziecinne uczucia były więcej wymaginowane niż rzeczywiste.

Kocham wielu ludzi, zwłaszcza ludzi cierpiących. Pragnę poświęcenia. W nocy mogę sobie płakać, w dzień muszę i będę zawsze się uśmiechać. Będę się uśmiechać w chorobie, umęczeniu ciała, udręczeniu duszy. Chcę pamiętać na każdym kroku, że mam „dawać wiele, wymagać mało, a jeszcze mniejszym się zadawałać”. Dziś wierzę, że szczęście polega właśnie na tym.

(...) Ach, te panie malarki w Szkole Sztuk Pięknych, obecne koleżanki moje, to one przeszkadzają mi w pracy. Nie pozwalają mi rysować, te niegodziwe istoty, tylko wciąż krzyczą, żebym im pozowała. Psują mnie, swoją drogą, okropnie, bo co ja się tam nasłucham komplementów. A to, że mam śliczny koloryt, to że mi ładnie w rozpuszczonych lokach, to że jestem matejkowskim aniołkiem z polichromii kościoła Maniackiego, to się na mnie złoścą, że niepodobna mnie zrobić podobną, tylko musi się twarz mi stylizować - ale najwięcej to mi się nagadają o ustach, które podobno są „niepojęte”. Co do mnie, to sama nie wiem, co sądzić o mojej powierzchowności. Czasem mi się zdaje, że straszny brzydał, a czasem, doprawdy, z przyjemnością patrzę się w lustro.

(...) Śmiać mi się chce, gdy sobie — siebie sprzed roku uprzytomnię. Zmieniłam się bardzo. I w ogóle zmieniłam się szalenie od czasu, gdy piszę ten pamiętnik, czasu, zdaje się, niezbyt długiego. Kiedyś przejrzałam te cztery zeszyty i uprzytomniłam to sobie. Gdy zaczynałam pisać w lutym 1914 r., przed wojną jeszcze, we Lwowie, byłam sobie słabym wprawdzie dosyć, ale takim dobrym dzieckiem.

Zrazu jestem pod wrażeniem miłości ku kobiecie, nauczycielce (cóż za pensjonarstwo!) — ale to było ta kie miłe, takie jakieś idealne i naprawdę uszlachetniające. Potem wkrada się z wolna, cicho miłość do jasnego chłopaka — dziecka jeszcze prawie, bez żadnych wyznań z żadnej strony, niewinnie i ślicznie... Potem ten „czerwony” okres zeszłoroczny, wyciężona praca wygórowanej fałszywej ambicji, każącej się wciąż piąć, być na czele. Niezdrowy wybujały egoizm, nie znoszący prawie, by mężczyzna w mej obecności był kim innym zajęty, i to pierwsze budzenie się człowieka dojrzałego fizjologicznie. A w trakcie tego również — bujny rozkwit uczucia patriotycznego, tej według mnie,

najlepszej części mej duszy. Potem szpital, mnóstwo nowych wrażeń, myśli, pojęć, uczuć, spostrzeżeń i bardzo szybkie dojrzewanie, już nie tylko fizjologiczne i nie specjalnie umysłowe, ale życiowe.

(...) Chciałabym wyjść za mąż i nie wstydę się tego, co napisałam. (...) Chciałabym też bardzo

mieć dzieci i całe życie im poświęcić, pielęgnować je, wychowywać, uczyć.  
I daj, Jasny Boże, jeśli już koniecznie muszę się w kimś zakochać, bym pokochała kiedyś poetę".

Rówieśnicy

Rok 1915

Zakopane. 15 lutego. Jak i gdzie tylko mogę, walczę słowem z wrogami naszej sprawy, ale chwilami żałuję, że to nie czynię. Bo i na cóż się to zda, szczególnie tutaj, w tej budzie podłej, czcigodnym zakopiańskim gimnazjum. Ach, ci koledzy i te koleżanki moje! I myśleć o nich nie mogę, bo mnie zniechęcenie w tej chwili ogarnia. Ale mniejsza o to, wygadam się, może mi to właśnie ulgę przyniesie. Jediną rzeczą gorąco obchodzącą całą szkołę jest erotyzm — to jedno jest godne, żeby się nim zajmować, to jedno dostarcza niewyczerpanego tematu do rozmów.

Kochać się, a raczej „katarzyć się" jest hasłem naszej szkoły, jak gdyby chorobą, którą każdy zarazić się musi rzadko kto zdoła oprzeć się tej epidemii.

Kto się kocha, ten nosi w zegarku fotografię, względnie podpis ukochanego czy ukochanej, pisze sonety, chodzi pod okna przedmiotu swych westchnień itd. itd. Rozumie się samo przez się, że książka do nauki nie istnieje dla takich jegomościów. Prócz tego koledzy moi myślą jeszcze często o tym, żeby w zimie spadł dobry śnieg do nart, względnie żeby w lecie była ładna pogoda do pójścia na spacer, myślą też o tym, żeby nie było szkoły lub żeby splatać „byczego" figla któremuś z belfrów.

Ja nie chcę się wywyższać, bo to jest wstrętne, samej się wywyższać, a przy tym nie miałabym tak bardzo racji, bo pod wielu względami są oni lepsi ode mnie (taka Genia na przykład, która by nie tylko nie skłamała nigdy, ale nawet nie popełniła najmniejszego szkolnego oszukaństwa), a jednak choć nie chcę tego, muszę ich surowo krytykować. Bo dlaczego oni są tacy obojętni na sprawę najważniejszą i najżywotniejszą obecnie, która każdego Polaka powinna tak bardzo obchodzić, do której każdy Polak powinien w miarę sił i możliwości się przyczynić. Wiem, że nie należy tej młodzieży tak surowo potępiać, (...) powtarzają bowiem przeważnie to, co w domach słyszą, te absurdy, które im pakują do żółtodziobych łepetyn. (...) Jeśli odezwie się kto przy mnie, czy to w klasie, czy na spacerze, z jakimś lekceważącym zdaniem o Legionach, to nie mogę wtedy milczeć. Muszę mówić i... zwykle zostaję zakrzyczana.

O, czemuż nie jestem mądrzejszą i wymowniejszą! (...) Z dziewcząt z naszej budy najsympatyczniejszą i najmądrzejszą jest Basia, zapalona skautka i wielka przyjaciółka Legionów. Co do Geni i Gładys, są to bardzo dobre, dziewczyny, ale ja się z nimi jakoś nie mogę zbliżyć. Główną przeszkodą są przekonania, które Genia ma aż zanadto endecko wyrobione, a Gładys zanadto ją miłuje, żeby mogła mieć inne. A inne panienki to albo kokietki, albo gąsiątka. Wśród chłopców to jeszcze większa zbieranina: są to albo Don Juani, bałamuty i leniuchy, albo tumany lub zupełnie draby. W mojej klasie — porządnych mało, chyba jeden Adaś Sokołowski zasługuje na miano zupełnie porządnego.

A nasi szanowni mistrze, którzy przy każdej sposobności nie omieszkają zaznaczać, że „są tu nie tylko tego, żeby uczyć, ale żeby być przewodnikami młodzieży, urabiać jej serca i charaktery". Jacyż są ci zacni pedagogowie? Przede wszystkim mają orientację strachu i kieszeni, drżą tylko o swoje posadki i o to, czy włożą do ust kawał chleba, i czy będzie on posmarowany masłem. W grudniu, w czasie, kiedy ofensywa rosyjska parła wciąż ku nam i była obawa przyjscia moskali, byli oni moskalofilami, teraz, gdy zaczęły się austriackie zwycięstwa, są ogromnie lojalnie i c.k. nastrojeni. Prócz pana Wuttke i pana Millera — dwóch najlepszych pod słońcem profesorów — jest to, niezbyt i delikatnie się wyrażając, hołota; niektórym chce się nawet kokietować uczennice. A o czcigodnej pani „Gromiwoji" B. — okazie, który warto by dać na wystawę, to nawet poemat ułożyłam. Zaczyna się on tak:

Matrona z górą półwieczna  
Tak wierząca jak cnotliwa  
Tak moralna jak stateczna  
Tak skromna jak urodziwa...

Oj, źle mi w tej budzie!

Niedziela, 1 sierpnia. (...) Przez całe popołudnie byli goście: siedmiu chłopców Gadomskich, Hanka, trzy Kwietniówne i nasz skromny pedagog i światłodawca M. (Baloo, Majeranek, Korek, jak kto woli). Według życzenia wyższych instancji ani razu nie było mowy o polityce i przekonaniach, obeszło się więc bez dysputy, kłótni, choć czasem było nam trudno, gdyż Majeranek nas prowokował, mówiąc, że Warszawa jest w Rosji, Zagłębie w Prusach, żadna Polska nie istnieje od wielu lat itp. bzdurstwa. Poza tym bawiliśmy się bardzo dobrze i wesoło.

Rok 1917

Zakopane. 3 maja. (...) Stałam dziś z klasą moją przed gimnazjum. Koledzy i koleżanki zbierali się z wolna, mieliśmy o dziewiątej wyruszyć razem w pochodzie do kościoła na obchód 3 Maja. Wtem usłyszeliśmy dalekie, kościelne dzwony: to msza żałobna za Rojka-Wesołowskiego, legionistę.

15 czerwca. Jutro matura! Tak się strasznie boję. Czemu ja tu nie mam mamusi. Takam sama biedna. Koleżanki i koledzy byli dla mnie dobrzy, ale przede wszystkim Basia i Witold. Boję się, boję. Dawniej byłam przekonana, że zdam maturę z odznaczeniem, teraz chcą tylko zdać „jednogłośnie”, a niechby i tylko „większością głosów”.

Wtorek, 19 czerwca. Dziękuję Ci, Panienko Święta! Takam szczęśliwa! Ach! (...) Ale po kolei. (...) Znalazłyśmy się przy zielonym stole w naszej dawnej pocziwej VIII klasie. Zanim jeszcze zdążył zgrupować się cały areopag, do klasy wtargnął pocziwy profesor Hahn i dał nam wszystkim tematy do pytań z literatury. Dostałam cudne pytanie, po prostu stworzone dla mnie z mojego kochanego Słowackiego: Jak sobie Wieszczy wyobrażał bohatera narodowego?

Odczytałam ustęp z „Anhellego” i zaczęłam cichutko gadać. Ale patrzę, belfry słuchają uważnie, taka cisza. Podnoszę więc głos o oktawę i naraz staję się taka wymowna, że sama się zdumiałam. Z męża opatrnościowego zeszedłam na patriotyzm Słowackiego, wreszcie wypowiedziałam ten cudowny wiersz: Biada, kto daje Ojczyźnie pół duszy...

Drugie pytanie miałam z Wyspiańskiego, ukochanego mojego Wyspiańskiego — znów byłam w swoim żywiole. Strasznie mi się dobrze odpowiadało, tym bardziej że przed sobą miałam dobre, życzliwe na mnie patrzące twarze pana Millera i Kilarskiego. (...) Po historii wyszłam na pauzę na korytarz. Patrzę, siedzi już na ławce Basiątko moje i Witold, nadchodzi Genia i Janka, wszyscy się dopytują, cieszą. Ach, jacyż ludzie są dobrzy i jaki świat kochany! Poszłam „dojrzyć” do końca. (...) Zostałam uznana za „dojrzałą z odznaczeniem”.

Ach, cóż za radość szalona. Potem triumfalny pochód przez Krupówki. Nadaję telegram do mamusi.

(...) Po południu matura realistek. Gdy przyszłam, odpowiadała z literatury już Genia i jak gdyby nigdy nic kłóciła się z „panem radcą” o Połanieckiego, który jest według niego ideałem człowieka i... patrioty (!). Genia zaś zbryzgała go okropnie. Pyszna dziewczyna! (...) Wieczorem tego dnia byliśmy u Przanowskiego z profesorami, którzy jak za dotknięciem różdżki czarnoksiężskiej potracili swe dawne jowiszowe skórki i bawili się z nami jak koledzy. Zrobiliśmy też odkrycie, że są oni o wiele miłsi i lepsi, niż nam się dotąd zdawało. A może myśmy wraz z tym świadectwem dojrzałości dojrzałości do bardziej wyważonej oceny ludzi?...

Rok 1917

16 listopada. Dziś właśnie mija pięć miesięcy, jak zdałam maturę. Cała nasza klasa, to nasze maleńkie kochane społeczeństwo rozsypało się, rozpadło na sześć atomów, z których następnie każdy samodzielnie począł dążyć.

Dziś wszystkie moje koleżanki są słuchaczkami Uniwersytetu Jagiellońskiego: Genia na medycynie — już się do niej zapaliła, nie przyniesie hańby naszej klasie. Również na medycynie jest Zosia, przyznaję, że mnie to zdziwiło, ale — szczęść jej Boże. Cesia na chemii i geologii — i ona na polu nauki położy w przyszłości zasługi, bo to tęga głowa i złote serce. Basiątko moje kochane na agronomii, jak miała zamiar już od dawna.

Jestem pewną, że będzie ona chlubą naszej szóstej. Janeczka też na agronomii.

A co ze mną — z szóstym atomem?... (...) Sądziłam, że na wiosnę polska armia pójdzie w pole i



chciałam gorąco iść do niej na sanitariuszkę. Stało się inaczej — o „polu” nie było co i marzyć, chciałam więc przynajmniej wrócić do krakowskiego szpitala. Stryjostwo nie zgodziło się, co przyprowadziło mnie o wielkie zmartwienie. Byłam przez te pierwsze tygodnie wakacji nieznośna, strasznie jeszcze zdenerwowana po maturze, wciąż płacząca po kątach. A potem przyszła choroba - zapalenie stawów.

Zacząłam odbierać listy od moich koleżanek, już z uniwersytetu. Wszystkie pytają: Co robisz ze sobą, Maryś? Noga moja dotąd jeszcze nie funkcjonuje dobrze więc siedzę w domu i bawię się w dobrze wychowaną panienkę, która po „skończeniu pensji, ćwiczy się w talentach” (!). (...) Trzy moje młodsze siostrzyce w gimnazjum w Częstochowie, a tatuś — zamianowany inspektorem szkolnym w okręgu olkuskim — na stałe jest w Olkuszu i tylko na niedzielę do nas przyjeżdża.

(...) Szyjemy sobie razem z mamusią, gotujemy, czytamy, ja prócz tego uczę się po francusku, trochę gram na fortepianie, rysuję trochę. Lecz rozumie się - że tak zawsze być nie może. Oficjalnie więc przed światem nazywa się tak: „Wskutek choroby Marysia nie mogła pojechać do uniwersytetu, obecnie uczy się gospodarstwa. Po wojnie wyjedzie do Francji na studia malarskie”. Naprawdę zaś jest tak: Choćbym nie zachorowała, na uniwersytet nie poszłabym. Bo i w jakim celu?... Pracować naukowo nie będę, żadnych wybitnych zdolności nie posiadam. (...)

Rok 1918

Kraków. 12 lutego. (...) Cała ta młodzież tutejsza! O ile poznać ją przez ten krótki czas mogłam, to podzielić ją można na dwie kategorie: pierwsza, szczególnie dotyczy to chłopców, jest prawdziwą złotą młodzieżą; bawią się i szaleją. Druga zaś kategoria „politykuje” (o, zgrozo!), urządza śmieszne dzieciinne manifestacje, śmie porównywać się do bohaterów 31, 63 roku, za ich spadkobierców się uważa, tłucze szyby, wykrzykuje „Rotę” i zdaje jej się, że buduje Polskę. Okropność! Na mnie te manifestacje robią takie straszne, przeraźliwe, przykre wrażenie. (...) Historia pokaże, kto miał rację, ale dziś jestem pewną, że nie mają jej ci, co tracą czas na bezpłodne... (dalszy fragment został wyszarpany).

Rok 1918.

Warszawa. Czwartek, 7 listopada. 7.00 rano. Wczorajszy dzień był wielkim dniem. Dziękuję Ci, Boże, żeś mi takiego dnia dożyć pozwolił. Postaram się utrwalić ten wczorajszy dzień w piśmie jak najdokładniej.

Ranek wstał taki cudnie radosny i słoneczny. I Wracając z kursów wstąpiłam do pp. Chmielewskich po p. Mariana Kilińskiego, z którym razem miałam się udać na wiec ogólnoakademicki. Przed uniwerkiem spotkaliśmy Jagodę i Zosię Golczewską i razem poszliśmy do ogrodu uniwersyteckiego, wypełnionego już szczelnie głowami młodych chłopców i dziewcząt w biało-amarantowych rogatywkach.

Wiec trwał od 1.00 do 5.00 i był niezmiernie burzliwy. (...) Po wyjściu wichrzycieli, rozgniona młodzież rozpadła się na dwie grupy walczące z sobą zajadle. Jedna była za tym, żeby do wojska wstąpić natychmiast, nie czekając na niczyje wezwanie, kiedy Ojczyzna sama wzywa. Druga była zdania, że należy czekać, aż powoła ją jakiś socjalistyczny dyrektoriat – mityczny rząd, o którym wciąż przychodzą do nas sprzeczne wieści. Ja oczywiście należałam do tych pierwszych, ale niestety druga strona liczna była bardzo.

Urządziliśmy głosowanie i liczenie głosów. Z drżeniem oczekiwałam wyniku, który na szczęście, wprowadzi tylko o czternaście głosów, ale dał przewagę naszej stronie. Gdy prezes ogłosił wyrok, żywiołowa jakaś radość opanowała akademików, ogarnął ich zapał bojowy, poczęli krzyczeć: Precz z dyskusjami, do broni!

Głośnymi wiwatami powitaliśmy kolegów z kursów rolniczych, którzy więcej od nas okazali miłości Ojczyźnie i wyrobienia politycznego, bo też sama uchwała przeszła u nich olbrzymią większością głosów. Wkrótce nadeszła politechnika - i wszyscy razem olbrzymiej długości węzłem ruszyliśmy przez Krakowskie Przedmieście do Placu Zamkowego przez całą drogę śpiewając wojenne pieśni i wznosząc okrzyki na cześć polskiego wojska. (...) W takim zapale rodzi

się prawdziwy czyn.

I Czyn się rozpoczął. Co najlepsze z młodzieży zaciągnęło się do wojska jeszcze tego samego dnia, a wczoraj wczesnym rankiem pierwszy ich transport otrzymał uzbrojenie i wysłany został na front. (...) Wyższe uczelnie wszystkie pozamykane, tj. uniwersytet, politechnika, kursy rolnicze i kursy handlowe. Szkoła Sztuk Pięknych — no i wszystkie inne. Młodzież zaciąga się tłumnie, po ulicach snują się gromadki studentów obradujące wciąż z nie stygnącym zapałem. Mnóstwo też przeciąga ulicami rekrutów - inteligentów i tęgich wiejskich parobczaków, dźwigających węzełki przygotowane przez troskliwe matule. Mali roznosiciele gazet, typowe andrusy warszawskie, drą się wciąż wniebogłosy: nadzwyczajny doda... (z zasady me dodają na końcu: „tek”). (...) (...) Zaraz na drugi dzień po uchwałach uniwersyteckich zgłosiłam się do p. kapitana Wertheirna, organizującego oddziały sanitarne Wojska Polskiego, i oświadczyłam mu swą gotowość ofiarowania usług Ojczyźnie.

I oto otrzymuję już dziś rozkaz stawienia się do Inspekcji Wyszukolenia i tam dowiaduję się, że pojutrze mam jechać do Ostrowia. (...) Ten rozkaz ziszcza moje najtajniejsze marzenia. Mam już opaskę z czerwonym krzyżykiem na ramieniu, mam już legitymację sanitariuszki Wojsk Polskich, mam marszrutę. Należę już do Wojska Polskiego — pieszczę się brzmieniem tych słów. Pan kapitan i inni oficerowie ściskając dziś na pożegnanie mą prawicę oznajmili mi, że jestem teraz ich koleżanką. Czyż to nie cudowne?...

Wreszcie — On!

Rok 1915

26 września. Kupiłam w „Lidze” kartkę z wierszem „O II Brygadzie” i wysłałam ją do rodziców. Cudny wiersz. Taka mnie bezmierna tęsknota opanowała po przeczytaniu go. Autorem jego jest Józef Englicht, dawny ulubiony uczeń tatusia, obecnie Legionista, Karpaczek. Jeden tylko ten drobny utwór jego znam, a tak mi się zdaje, że on musi mieć cudną duszę. Zresztą, nie wiem — może się mylę, świat jest taki pełen brudów.

Niedziela, 9 października. Znów dziś był taki dzień, jeden z tych, które są niby jasne i wesołe, a po których zostaje niesmak. Brrrr... Ach, dlaczego ja byłam taka głupia, rozbawiona, rozflirtowana. Tadek przysyłał mi wciąż przy „grze kwiatowej” idiotyczne kartki z samymi prawie miłosnymi wyznaniem, a ja odpowiadałam w tym samym sensie. Robiłam to, choć widziałam zwrócone na siebie czarne oczy Leszka, w których, gdybym w nie głębiej wejrzała, zobaczyłabym smutek i niemą, lecz ostrą krytykę. Te cudne czarne oczy.

8 listopada. Przed chwilą powiedziała mi pani Niewińska: „Wiesz, Marysiu, Leszek jutro wyprowadza się od nas”. (...) Głupie serce! Bądź cicho! Cóż mnie to może i obchodzić, że Leszka tu me będzie. Jego cudna dusza zakłęta w jego cudnych oczach.

Jestem wściekła, chandra mnie gryzie, w powietrzu smutek i nuda, nuda...

12 grudnia. Jadzia jest zaręczona. Napisałam ten wyraz i patrzę na niego, by sobie to uzmysłowić, ale nie mogę. Nie, to takie niepojęte! Leszek i Jadzia! Stało się, zaręczyli się, by raz położyć koniec ukrywaniom. To jest strasznie ładne; zazdrość jest mi, ale szczęśliwa po stokroć Jadzia. (...) Para dzieciaków, śliczna młoda parka. On dziewiętnaście lat ma, ona szesnaście. Jakżeż oni ładnie wyglądają, kiedy na przykład idą razem. On w strzeleckim siwym mundurze, batorówka na głowie, pod nią czarne cudne oczy płoną — przez ramię zarzucony malowniczy kożuszek. Ona smukła, zgrabna, o dużych słodkich oczach i ciemnych włosach, wymykających się spod czerwonego beretu. Ich stosunek cały jest taki prześliczny. Troskliwy, delikatny, pełen cichego, lecz wielkiego kochania. (...) Oj, głupia byłam...

Rok 1916

13 kwietnia. Najwięcej z poetów legionowych cenię Mączkę. Jego utwory cudne niosły wieści do kraju z Karpat i błot poleskich, i lasów wołyńskich, i stepów kresowych i uczyły mnie kochać zarówno te szare zastępy piechoty, jak i „naszych kraśnych ułanów sprzed lat”, cieszyć triumfem „mości pana plutonowego”, co „niby jasny kasztelanie, niby dziedzic na swym błoni”, pod gradem kul nietknięty przebiegł, wierzyć głęboko, że „ojczyznę ukochaną musimy wolną mieć”, płakać nad tym chłopczyną, leżącym w krwawym polu, co mówi: „Żegnajcie mi, matulu!” O samym poecie

wiem niewiele, ale domyślam się tyle, że musi być jak dawni rycerze bez skazy i trwogi. On jest spadkobiercą „przedburzowca” Romanowskiego — te same mu uczucia w piersi dzielnej młodzieńczej grają, gdy chwyci pióro w rękę — by pisać — a pisać zawsze z myślą o Polsce; ten sam głos kazał mu z nowym pokoleniem orłów wyruszyć. Nie daj mu tylko, Boże, śmierci, jak tamtemu. I, o Boże, daj mi go poznać!

3 maja. Po Mączyce cenię najwięcej talent młodego poety — ongiś ucznia tatusia — Englichta. Tylko, niestety, znam jego rzeczy bardzo niewiele, bo on bardzo mało podobno drukuje (co zresztą właśnie w nim cenię, że tak np. jak p. Zenek każdego drobiazgu zaraz nie „wysławia”). I jego nie znam — tak się jakoś złożyło, że właśnie jego jednego z „tatusiowych chłopców” poznać nie miałam sposobności — a tak bym go strasznie znać chciała.

Rok 1917

12 maja. Razem z Jagą zajmuję w „Litwince” ten pokój z balkonikiem. Na tym balkonie zeszłego lata stojąc wieczorem w nocnej koszuli słuchałam serenady „legionów”. I tu słuchałam „bladego pana” co dzień wieczorami krążącego po parku i gwizdającego przed „Litwinką” prześlicznie moje ulubione utwory — Karłowicza, Niewiadomskiego do słów Konopnickiej, Tetmajera.

Był bardzo przystojny, miał długie faliste włosy i spojrzenie atlasowe jak „św. Jan” — Leonarda da Vinci; był bardzo mizerny, nosił wykładane kołnierze a la Słowacki. „Musiał być” poetą, nieszczęśliwym i chorym płuca. Pierwszy raz spostrzegłam go w teatrze na koncercie. Dziwnie badawczo na mnie wtedy patrzył, a mnie ten uporczywy wzrok przeszkadzał na antraktach śmiać się, paplać, flirtować, trzepotać, potrząsać czupryną, jak to zwykle bywało. Pewnego wieczoru tak się ośmielił, że usiadł na ławeczce na wprost balkoniku. Padało mu na twarz światło księżycowe. Po mojej dość egzaltowanej głowinie snuły się porównania: jestem Henrieta Ewa Ankwiczówna, ów osiemnastoletni cicerone dla niego. Cicha noc księżycowa, ciepły wietrzyk rozrzuca włosy, w powietrzu świeża woń żywiczna, drzewa na Antałówce szumią... Po chwili spostrzegłam, że pod „Litwinką” krąży ktoś nowy. Poznałam go — to Legionista od Chramca, mój dość dawny już „flircik”, ograniczający się zresztą tylko do „robienia oczka”. Dwóch już krążyło, chodzili obaj, mijając się grzecznie. Naraz legun wsparł się o latarnię, kartka zabielała mu w rękę, a on szybko pisać począł (...) owinał listem kamyk, rzucił do mnie, zasalutował i tyłem go widział. Kamyk odbiwszy się od balkoniku upadł w krzaki. Zbiegłam szybko na dół. Drzwi zamknięte były na klucz, otwieranie usłyszała babcia: Gdzież to się wybierasz na spacer o tak spóźnionej porze w tak niekompletnym kostiumie?. (...) Wracając na górę usłyszałam z oddali zbliżające się dźwięki mandolin: to Legioniści z „Dory” szli z serenadą. Było ich trzech z mandolinami, jeden z gitarą. Zasiadli na ławeczce i rozpoczął się już prawie przed północą koncert. „Bladego pana” nie ujrzałam już więcej. 21 maja. Usłyszałam po raz pierwszy w tym roku głos kukułki. Pytam: Kukułko, kiedy się zakocham, naprawdę zakocham?...

25 listopada. Niedziela. Dziś u nas gwarno, są goście, królewsko-polscy sędziowie z Olkusza, a jutro jadę z tatusiem do Olkusza na parę dni. Jadę z chęcią, tym bardziej że tyle już miesięcy nosa spoza Z. nie wytknęłam. Mam przeczucie, że mnie spotka jutro coś miłego!

29 listopada. Czwartek. Przed godziną przyjechałam z Olkusza. Przyjechałam inną, jużem nie tą samą, co przed czterema dniami. Poznałam kogoś, o poznaniu kogo od lat trzech marzyłam. Stało się to przypadkiem, w pociągu. Przeczucie mnie nie zawiodło. (...) Potem siedzieliśmy w saloniku u państwa Osmałowskich — podobno parę godzin, ale dla mnie były one chwilą. Ani przez chwilę nie byłam z nim sama, zresztą to wszystko jedno, i tak musiało być wszystko konwencjonalne, jak przystoi na nową znajomość. Pani i panna O. zasypywały go pytaniami, pan Englicht opowiadał, ot, o leguńskiej doli ślicznym dźwięcznym głosem, barwnie i zajmująco. W pewnej chwili przypomniała mi się „Stara baśń”. Młoda dziewczyna, Miła, przychodzi do starej wiedźmy i prosi o sposoby „na lubienie”. Stara daje jej zeszcłe ziółko: weź to, zetrzyj na proszek, do miodu wsep i daj mu pić, a gdy pić będzie, patrz mu w oczy, ani mrugnij. Gdy mrugniesz, 1 wszystko przepadło. Nie miałam miodu ni cudownego lubczyka, ale patrząc mu prosto w oczy, modliłam się gorąco i odmówiłam trzykrotnie „Zdrowaś Maria”. Nie mrugnęłam ani razu. Przyciągnięty moim wzrokiem spojrzął na mnie. We wzroku jego było zdziwienie, pokryte może towarzyską grzecznością. Gdy była mowa o tzw. szufladkach ze wspomnieniami, prosił mnie, bym i dla niego wyznaczyła miejsce

w jednej z nich. Zapewne po prostu wypadło tak powiedzieć.

Żegnał się i odprowadzałyśmy go do przedpokoju. Nie spuszczałam z niego oczu. Czy i kiedy jeszcze go zobaczę? Dziś nie mogę jeszcze, nie jestem w stanie zdać sobie sprawy ze stanu mojej duszy. Wiem tylko jedno: ten człowiek zabrał mi spokój i tę moją poprzednią rezygnację, zbudowaną, jak się pokazało, na kruchych podstawach.

24 grudnia. Dziś wilia. Żadna myśl teraz mnie nie cieszy, prócz myśli o Nim, żaden list, bo żaden nie jest od Niego — i pisać nie mogę — nie pisałam tak dawno, bo tylko o Nim pisać bym, myśleć, mówić chciała.

(...) Pojutrze u nas tzw. balik, gości będzie sporo, dawnych uczniów tatusia, lecz cóż mi oni wszyscy... 27 grudnia. Wczoraj mówił mi dużo Władek Wąsik o panu Józefie. Tacy oni wszyscy dumni z tego żołnierza-poety, dosyć słów zachwytu nie mają dla niego. Jakże mi dobrze było słuchać tego. Widziałam też u Zosi St. przedwojenne jeszcze fotografie pana Józefa. Nosił wtedy długie włosy, okalające mu czarną ramą te stalowe rysy kochane. Postawiłam na biurku mojem fotografie jego. Któż się domyśli? — na tej samej fotografii jest tatuś, Władek, Zenek; robiona nad Stochodem, bardzo ładna. I dziwne, w tej chwili dopiero zauważyłam, że oni wszyscy nie patrzą na mnie, tylko on jeden na mnie patrzy swymi czarnymi oczami, wesoło i głęboko zarazem. Kiedy, kiedy spojrzę tak na mnie naprawdę, nie z obrazka?... Tęsknię do tej chwili.

Rok 1918.

Niedziela, 27 stycznia.

...I co przyszło jej do głowy

Wypisała wszystko na niem...

Teraz wietrze cichem wianiem

Zanieś listek kalinowy

...Przed chwilą napisałam list do niego. Nie mogłam dłużej męczyć się tak, niech się więc stanie, co się ma stać. Zawsze pisuję niebieskie listy, ale dziś napisałam na papierze bladozielonym; jest to kolor nadziei. Jutro list pójdzie. O, prowadź, Boże, ten mój listek kalinowy, niech dojdzie do rąk kochanych.

Przywiózł mi tatuś przed paru dniami z Warszawy książeczkę pana Józefa — opis walk karpackich w formie powieści dla młodzieży. Czytałam ją całą ze łzami. Pisał ją z widoczną intencją, by wlać wiarę, moc wytrwania, hart w młode dusze.

(...) Wciąż nasuwa mi się porównanie różnych ludzi z tym jednym dalekim, na którego padł wybór mojego malutkiego wybrednego serduszka. I zawsze przy tym sama myśl: przepaść między nimi — niebo i ziemia. Jaki on inny! Z jakiegoś szlachetniejszego metalu odlany, z najdroższego kamienia wykuty. On to, myśl o Nim sprawiła, że jestem w Krakowie i pozostanę tu czas dłuższy w celu uczenia się rysunków. (...) Tak bardzo pragnę w przyszłości zostać ilustratorką, a przede wszystkim ilustrować książki dla dzieci. Największym, skrytem mojem marzeniem jest, by pierwszą z nich była książka pana Józefa. Już sobie w myśli; no i w szkicowniku szkicuję śliczne rycerskie postacie chłopców, bohaterów „Karpata”.

Kraków. Noc z 11 na 18 lutego 1918. Piszę przy świetle księżycy. (...) Jutro raniutko będę na Wawelu, a potem idę na rynek, gdzie zbiera się cały Kraków, by zmanifestować swe uczucia patriotyczne, a zarazem uczucie nienawiści do wrogów, którzy nas tak strasznie skrzywdzili.

Ludność wie dobrze, że w rynku są ukryte karabiny maszynowe, ale nie ulęknie się ich — pójdzie.

(...) Być może będzie wszystko poważne i spokojne, ale może być inaczej, może krwawy będziemy mieli jutro zachód.

(...) Cudna czarodziejska ta noc, szafirowosrebrna, sierp księżycy zagląda do pokoju, wprost na moje łóżko. Cudna czarodziejska ta noc. Upijam się nią jak winem, jak powietrzem Tatr. Myśl biegnie do Niego, dalekiego, ramiona się prężą i wyciągają. Gdzieś Ty, jedyny, co robisz, co myślisz w tej chwili. Sen odbiegł daleko. Co jutro przyniesie?...

3 marca. Ci nasi bidacy serdeczni, krew serdeczna narodu, gniją w obozach jeńców na obczyźnie, na Węgrzech. Wrócili na Węgry, które przewędrowali szczytami Karpat przed trzema laty. Boże, co za strasznej zmiany. Ledwie małej garstce udało się przedrzeć przez rumuńską granicę. Szczęśliwsi oni. Poszli po nową sławę, ale ilu z nich wróci do nas? A znów ci stacjonowani w Królestwie, w

Warszawie, życia się pozbawiają z rozpaczy, jak major Ejdziatowicz i Kulczyński. Nic, nic nie wiem, co się dzieje z różnymi moimi chłopcami. Władek był na Bukowinie, lecz gdzie jest teraz? A pan Józef w Warszawie, tam, gdzie był major! Boże! Tak bardzo się boję o niego, mojego ukochanego.

Czwartek, 7 marca. Miałam dziś cudny, cudny sen... Siedzieliśmy gdzieś w większym towarzystwie. Była i Jagoda, która o czymś z ożywieniem dużym mówiła.

Ona potrafi się w takich chwilach zapalić, być śliczną i mówić mądrze i pięknie. Tak właśnie było. Obok siedział pan Józef i słuchał z zainteresowaniem. A ja wprost fizycznie czułam, jak się krajało serce. Zdawało mi się, że on jest tylko Jagodą zajęty, a mnie po prostu nie spostrzega. Więc zaczęłam do niego mówić oczami. Patrzałam na niego z rozpaczą, boleścią i miłością bez granic. Mowa oczu powiedziała mu wszystko. Wstał, wziął mnie za rękę. Odeszliśmy do ogrodu. Szliśmy chwilę milcząc, z bijącymi sercami, wzruszeni i uroczyści

jak w kościele, przez ścieżki zalane słońcem, wijące się wśród rabatek z narcyzami. Wreszcie powiedział: Wiem wszystko. Te oczy modre powiedziały mi więcej niż słowa. Dziękuję, Maryś! Całował krótko i mocno moją rękę. To były nasze zaręczyny. Może był to sen proroczy?...

10 marca. On, najgodniejszy szczęścia, został ciężko doświadczony; zmarła jego ukochana siostrzyczka. (...) Ja niemądra, słaba, niewyrobiona życiowo, przeciętnie uzdolniona, przeciętnie ładna, wiem, że nie jestem go godna i warta, ale tak serdecznie pragnęłabym go pocieszyć i tak mocno ufam, że tę pociechę dać bym mu umiała.

Późną już nocą, zmęczona płaczem, zasnęłam i we śnie przyszła do mnie zmarła siostrzyczka pana Józefa. Objęliśmy się rękoma, wokoło nas była jakaś cudna łąka, pokryta szmaragdową bujną trawą, na której rosa drżała. Żółte kwiaty mleczów, na skraju — krzewy śnieżnej tarniny. Ona prosiła mnie, żebym była dobrą siostrą Józskowi, żebym go kochała, żebym była dobra dla niego. Przrzekłam to zmarłej i choć to był sen tylko, czuję się tym przrzeczeniem związana jak najświętszą przysięgą.

Wielki Piątek — 29 marca. Tak wielką miałam nadzieję, że po przyjeździe do domu zastanę tam coś, jakkolwiek wieść, choćby maleńką, od niego. Nic, nic, nic. Cztery miesiące go nie widziałam. Tak mi okrutnie tęskno... Zenek Pakowski, który był u nas tego dnia, gdyśmy przyjechały, twierdził, że Józek jutro przyjedzie, i obiecywał przyjść z nim razem. Nie przyjechał!

(...) Tatuś był w Warszawie. Tak bardzo się spodziewałam, że jakkolwiek wieść za tatusia pośrednictwem dostanę. Gdy tatuś dziś po południu opowiadał o Warszawie, słuchałam z takim niepokojem, drzeniem wewnętrznym. I nic nie słyszałam. O, jakież wtedy żal głęboki do tatusia uczułam. Nieskończenie było mi smutno, że kochając mnie przecież tak bardzo, nic mnie jednak tatuś nie rozumie. (...) Nikt o miłości mojej nie wie domyślają się jej co najwyżej rodzice, domyśla się przede wszystkim mamusia moja ukochana, ale chyba nie przypuszcza, żeby to było w tym stopniu. (...) Staram zagłuszać się pracą, i to nie umysłową, lecz fizyczną, obiecywałam sobie, że będę dużo, dużo pracować w ogrodzie, ale niestety dni przyszły znowu mroźne i robota w ogrodzie jest tymczasem niemożliwą. Staralam się więc przynajmniej intensywnie zająć porządkami i pieczeniem przedświątecznym i przeszło tydzień pielęgnowałam Jagodę, która była bardzo chora — nie wiadomo dotąd, czy na tyfus plamisty, czy tylko na silną odrę. (...) Prosiłam Boga, aby mi zesłał chorobę.

Wielka Sobota — 30 marca. Jestem więc chora. Mam dużą gorączkę, w tej chwili 39,9, pewnie będzie jeszcze i większa. W głowie ból szalony. Dziękuję Ci! Lepszy ból fizyczny od takiego, kiedy serce boli (...).

Poniedziałek, 24 czerwca. (...) Dostałam dziś pierwszy list od Pana Józefa. Cztery bite strony zapisane jego kochanym, ślicznym, drobnym pismem. Taki piękny i miły list, tylko... taki niezmiernie smutny. Biedak kochany, nie szczędziła go rzeczywiście dola, którą on — dolą macochą nazywa; stracił bliskich swoich, a stratę ich na tle ogólnego ciężkiego położenia kraju i nieszczęść zgnębionej, nade wszystko ukochanej Ojczyzny, odczuł podwójnie boleśnie. Czuje się złamanym, zniechęconym do życia, stracił wiarę w to, czym żył dotąd przez te straszne lata wojny, czym w najcięższych chwilach się krzepił. A chyba najgorsze z wszystkiego — ten brak uzasadnienia. Dlatego to właśnie radość moja jest dziś połowiczną tylko. Nie mogę się całą duszą

oddać uczuciu szczęścia, wiedząc, że on tam cierpi.

Ale niedługo będzie szczęście moje zupełne. Musi, musi być takim. Napiszę do niego taki list pełen wiary, taki wlewający otuchę, taki słoneczny, że i on mi podobnym odpowie. Napiszę mu o Witkiewiczu, tym świętym staruszką, co mimo nieszczęść i zawodów swego burzliwego życia aż do końca nie stracił nadziei i otuchy i jako siedemdziesięcioletni zżarty chorobą starzec mówił o sobie, iż duchowo czuje się zawsze żołnierzem Legionów i drżącymi wyschłymi rękami usiłował dla Legionistów onuczki robić.

Środa, 26 czerwca. Wczoraj wysłałam odpowiedź - cztery strony równie nabite (...) Ja bym z największą rozkoszą od rana do wieczora nic innego nie robiła, tylko siedziała przy biurku, patrzyła na jego fotografię, nad którą pączki w pół rozkwitłych róż się zwieszają — i zapisywała, zapisywała bez końca niebieskie arkusiki.

Jest to str. 139 drugiego zeszytu pamiętnika, przedtem kilkanaście kartek rękopisu jest wyrwanych, dlatego nie można odtworzyć dokładnej daty następnego zapisu; prawdopodobnie Maria opisuje zdarzenia z połowy listopada 1918. Autorka pamiętnika przebywa wówczas w Ostrowiu, gdzie pracuje jako sanitariuszka.

Wyprawa to strasznie niebezpieczna, wzięwszy pod uwagę, że taka garsteczka idzie na masę!... Tam też miał wyruszyć sztab, tj. pułkownik Udałowski z panem Józefem, jako swym adiutantem.

Przedwczoraj, tj. w środę wieczorem, pan Józef żegnał się już ze mną. Przez całą noc było ostre pogotowie. Rano wpadł pożegnać się raz jeszcze — tym razem ostatni.

Szary, szary i mglisty był ten ranek listopadowy. Rozjaśniały go chyba tylko trochę krwawe grona jarzębiny, rosnącej za moim oknem. Mimo bólu w sercu — jakże mi było dobrze w tej chwili, w duszy tak jasno, uroczyście jak w kościele. O chwili tej mogę tylko powiedzieć, choć ona była wczoraj dopiero, że była piękna jak wspomnienie — bo wszak najczęściej dopiero wspominając coś, uświadamiamy sobie całe piękno.

Chwilo, chwilo kochana, cudna, do której chciałoby się powiedzieć za Faustem: „Trwaj, piękna jesteś!”, i w nieskończoność ją przedłużyć — chwilo jedyna naszego pożegnania, chwilo ty moja śliczna!...

Długo, długo całował moje ręce, a potem ja jego ręce głaskałam i pieściłam w swych dłoniach i patrzyliśmy sobie w oczy długo, długo: w czarnej głębokiej toni utonęły dwa biedne bławatki. I raz jeden, jedyny, leciutko pocałowałam go w czoło, a on znów ręce moje okrywać począł pocałunkami.

To było ładne i z artystycznego punktu widzenia; moment nadzwyczajnej czystości — świętości prawie i moment panowania nad sobą.

Z daleka ozwała się trąbka; zniknął, jak przyszedł, cicho i niespodziewanie. Zostałam sama.

Zostałam w przekonaniu, że go ostatni raz widziałam, bo nie wytrzyma serce moje tych prób i pęknie.

Ostrów. 24 listopada. Żadnej, żadnej wieści. Tak mi dziś smutno. Dziś żegnam jesień. Dziś od rana śnieg gęstszy prószy. Podobno sztab 1 pp. jest już w Warszawie - ksiądz kapelan zawiózł mu tam list ode mnie — ale czy ten list dojdzie rąk jego?... I kiedy przyjdzie oczekiwana całą duszą odpowiedź najdroższa?...

Cichuteńko... cichuteńko

sypie śnieg... sypie śnieg...

Matusieńko! Matusieńko —

może padł!... może legł...

Boże, Boże, chroń go!

Ostrów. 29 listopada. Tak się strasznie o niego boję;. Podobno 1 pp. jest znów na Litwie. Dzisiejszej nocy przywieźli nam rannych spod Łap. Mały nasz oddziałek pod wodzą kapitana Winczewskiego potykał się tam z przeważającymi siłami Niemców i pobił ich! W triumfie przyprowadzili nasi stu wziętych jeńców. Osiemdziesiąt koni, pięćdziesiąt wozów, dwie kuchnie polowe, automobil itd.

Czyż nie cudownie?... Bractwo takie z siebie rade. Rozmawiałam dziś dłużej z tym małym, rannym w bok, co leży na dwudziestej piątej. To „stary” legun, okrutnie stęskniony do wojenki po dwuletnim poście. Ale opowiadał ten chłopczyzna, że i naszych trochę zginęło, jeden oficer poległ...

nazwiska nie zna... Nie, to niemożliwe. On żyć musi! Mój kochany...

Służba

Rok 1915.

Zakopane. 15 lutego.

Bardzo już dawno wyobrażałam sobie siebie na koniu, wśród walki, trzymającą w ręku sztandar z białym orłem i okrytą zbroją (w zapale zapomniałam, że obecnie zbroi się nie nosi). To znów widziałam się przekradającą przez kordon, obładowaną tajnymi listami i papierami — albo przechowującą w domu rannego powstańca. Już, już, nadjeżdża pościg — powstaniec chowa się do kryjówki, ale zdradzić go mogą kałuże krwi, wtedy ja chwytam za nóż i bohatercko kroję się w rękę - teraz nikt nie będzie mógł powiedzieć, że ta krew nie jest z mojej rany...

Teraz, gdy jestem już starsza i nie taka dziecinna, martwię się, że nie mam w głowie dużego zasobu wiadomości praktycznych, przydałabym się może do jakiej służby agitacyjnej, wywiadowczej czy sanitarnej. A ja nic nie robię, w niczym nie jestem pomocną, ni małą cegiełką nie przyczyniam się do gmachu. Dałam wprawdzie na Legiony te trochę pieniędzy, które sobie składałam już dość dawno, bądź to z imieninowych czy gwiazdkowych upominków, bądź to z zapracowanych (w ogrodzie). Prócz tego dłużałam trochę w zimie ciepłych mitenek, skarpetek dla legionistów, a przed Bożym Narodzeniem pomagałam w przygotowaniu gwiazdki dla pierwszego pułku, ale... jak to wszystko strasznie mało.

3 lipca. (...) Za kilka dni tatuś, który dotąd tutaj pracował w departamencie jako emisariusz, wyjeżdża na linię — będzie w Brygadzie pierwszej, przy Piłsudskim. Szczęśliwy, jakże mu zazdroszczę!... Coś mi się roi po głowie, że gdyby mnie tatuś chciał wziąć, poszłabym chętnie z nim na ordynansa, choćby do czyszczenia butów, choćby do najniższych posług, byle tylko być tam, przy nich, przy bohaterach. Silna jestem, nie choruję nigdy, na pewno wytrzymałabym trudy wojenne, a nie, to mniejsza, bo przecież: „dulce et decorum est pro patria mori”. Cudnie byłoby!

Niestety, wiem, że tak być nie może, trzeba więc pożegnać się z tymi świetlanymi marzeniami, a przynajmniej zająć się porządną babską robotą na Legiony. Będę się do niej przykładac ze wszystkich sił. Jak tylko skończę z pocztówkami, które wraz z innymi rzeczami wysłane będą do brygady w rocznicę tego wielkiego dnia 6 sierpnia 1914 roku, (...) to będę się zajmować suszeniem owoców dla tych kochanych biedaków. Oni podobno cierpią tam na brak owoców, a przecież polskie społeczeństwo nie może pozwolić na to, żeby polscy żołnierze znosili jakiś niedostatek. Tak, stanowczo widzę, że usprawiedliwienie: „Nic nie robię, bo nie mam co robić”, nie jest słuszne. Kto chce coś zrobić, zawsze sobie znajdzie pracę.

Zakopane. 15 września. Błady świt przesiewa się przez szczeliny między storą a oknem, na dworze coś szmerze. Czy to deszcz, czy potok tylko? Nie chce mi się podejść do okna i zobaczyć, bo musiałabym wyjść z łóżka, a tam pewnie zimno, brrr... Boże, cóż ze mnie za sybarytka.

W tej chwili przyszło mi na myśl, czy również nie chciałoby mi się wstawać, gdybym była w obozie, a trąbka zagrałaby strzelecką poranną pobudkę. O, nie, czuję, że zerwałabym się natychmiast, choćbym spała krócej i nie na wygodnym łóżku, lecz na słomie. Zerwałabym się i stanęłabym do pracy, bo wiedziałabym, do czego się zrywam, do jakiej pracy staję. A tu wstaję po to, żeby przeżywszy kilkanaście jałowych godzin, znów się i położyć.

Rok 1916.

Nowy rok 1916. Zakopane. (...) Nowy rok się zaczął - trzeci rok, w którym już wojna nad naszą biedną wyniszczoną ziemią trwa i szaleje, i hula. Nic się pozornie nie zmieniło, ale w duszach wszystkim jeszcze smutniej. Gdy przed półtora rokiem zrywała się zawierucha, myślano i rojono, że przeminie prędko, a w zamian za stargane osobiste szczęście poszczególnych jednostek zostawi polepszenie bytu narodowego... A ona szaleje wciąż. Płyną, płyną ofiary i leje się tak obficie polska najzdrowsza, najpiękniejsza krew i... jakoś oddźwiękiem na to jest tylko milczący podziw i uznanie, a nad to — nic — ni obietnicy konkretniejszej, cóż dopiero mówić o czynie jakimś, co by przekonał, co by rękojmią był jakimś...

Następne zeszyty pamiętnika, obejmujące okres od końca stycznia 1916 r. do maja 1917 r., według informacji rodziny Marii zaginęły. Pewną lukę wypełnia nam pocztówka pisana przez nią w sierpniu 1916 roku. Wtedy to bowiem za zgodą ojca zaczęła pracować w jednym z krakowskich szpitali jako sanitariuszka pod opieką stryja — lekarza. Przytaczam treść tej kartki, wysłanej przez Marylę do ojca na adres: I Bryg. L.P., 5 pp. — I baon — III komp., poczta polowa 118.

28 sierpnia. „Drogi, kochany Tatusiu!

Wczoraj Stryjek dostał Tatusia kartę, dziś ja. Oj, żebyż te wieści były częste! Czy kartkę moją, już dwudziestą czwartą, w dwa dni po przybyciu do szpitala, Tatus otrzymał? U nas w szpitalu Legionistów teraz dość dużo, a mam ich pod opieką prawie specjalną. Mój przydomek „opiekunka legunów” i tutaj zawędrował. Robota, jak to już pisałam, niezbyt ciężka, toteż nauka doskonale się w planie pomieści. Zacznę ją już, wedle życzenia Stryjka, od 1 września. Jest mi tu dobrze i pewnie coraz lepiej będzie, chorzy zaczynają bardzo lubić nową „siostrzyczkę”. Takam szczęśliwa, że się moje życzenie spełniło, i na pewno nigdy tego żałować nie będę. Ściskam mocno, Tatusieczku — Marylka.

Pewną informację o tym szpitalnym, chyba kilkumiesięcznym epizodzie w jej życiu może też stanowić udostępniona mi fotografia. Widać na niej w ogrodzie na tle drzew — legionistów, a wśród nich Marylę — uśmiechniętą młodziutką dziewczynę w białym fartuchu, z ciemną krótką grzywką wymykającą się spod białego o dwóch skrzydełkach — czepka. Po drugiej stronie fotografii jest informacja: „4 września — 1916, 3 szpital forteczny, 4 oddział w Krakowie” oraz autografy widniejących tam osób, m.in. „W. Makowiecki «dziadek», Sz. Unicki, «Majcher, Miccio», Lisowski, Milczanowski Zygmunt Kosiba, Tadzio Skoczeński, M. Stachelski”.

Stachelski, wysoki, z ostrzyżoną głową, o bardzo męskiej urodzie żołnierz w mundurze to przyszły mąż naszej bohaterki. Ale wtedy zapewne, sądząc chociażby z późniejszych zapisków w zeszycie, nie domyślała się nawet, że kiedyś zostanie jego żoną. Wśród tych podpisów żołnierzy — legionistów znalazł się i jej: „Marysia Wrzoscówna, sanitariuszka, «opiekunka legunów”.

Rok 1917.

Zakopane, 3 maja. Nigdy nie żałuję tych, co polegli. Wprawdzie żal taki straszny serce zawsze ściska! Na wieść o nowej ofierze na ołtarzu Ojczyzny, a łzy płyną z oczu, ale to jest raczej uczucie egoistyczne. Ja wiem, umiem to odczuć, jacy oni bezgranicznie szczęśliwi. Śmierć na polu bitwy — toć to jedyna śmierć godna mężczyzny.

Żal mi więcej tych, co w czas spokojny na łożu otoczonym płaczącą rodziną umierają, a najwięcej to chyba takich biedaków jak Rojek. To straszne być jak on żołnierzem, nosić drogi mundur szary, a zginąć nie od i kuli, lecz z choroby długiej, ciężkiej, niszczącej.

16 listopada. (...) Dowiedziałam się niedawno, że kolumna sanitarna, w której jest panna Halina Hofmanówna, znajduje się obecnie niedaleko nas, w Klimontowie, gdzie walczy z epidemią dyzenterii i tyfusu brzuszego. Dziś wysłałam list do panny Haliny z prośbą o odwiedzenie nas. Ogromnie chciałabym ją zobaczyć. Czuję, że ona mi doradzi najlepiej.

20 listopada, wtorek. Brawo! Jutro jadę po pannę Halinę do szpitala! Mam przecucie, że to będzie dla mnie ważny dzień.

21 listopada. Byłam! Już dojeżdżając do tych białych robotniczych domów zajętych obecnie przez kolumnę, gdy zobaczyłam patrzące na mnie z okien blade wychudzone twarzyczki chorych dzieciaków, w jednej chwili ogarnięta zostałam i opanowana wszechmocnie tą jedną myślą: tu moje miejsce, tu być muszę.

(...) Już w powozie długo i szczerze rozmawiałam panną Haliną. Ona pochwała mój projekt. Radzi mi tylko zastanowić się nad tym — czy zdrowie mi pozwoli, czy rodzice będą to aprobować. (...) Ach. pragnęłabym jak najprędzej tam się znaleźć. Teraz czeka mnie jeszcze rozmowa z rodzicami. Nie chciałabym nic robić bez ich zgody. O, dobry Boże, daj, niech oni się zgodzą, niech im się spodobają plany moje. Jakaż będę szczęśliwa!

Czwartek, rano, 22 listopada. Tak mi dziś smutno; tak niedobrze na świecie. Wczoraj w rozmowie z rodzicami byłam tak wymowna. Tymczasem nic z tego. Oni, a zwłaszcza tatuś, zrozumieć tego nie mogą, iż ja tego pragnę rzeczywiście, nie są w stanie uwierzyć, żeby to miała być naprawdę linia mego powołania... Mamusia wychodzi i jeszcze z tego założenia, że gdybym ją obecnie opuściła,



„byłby to ostatni gwóźdź do jej trumny”,

(...) Zostanę z tobą, matuś, choćby do śmierci, i musi nam być dobrze razem. Będzie mi czasem szarpać duszę tęsknota do życia szpitalnego, lecz postaram się to zagłuszyć tymczasem. A kiedyś może wypełnię pragnienie moje — zobaczymy...

Rok 1918

W pierwszych miesiącach tego roku Maryla przebywa w Krakowie. Przedpołudnia od godziny dziewiątej do trzynastej spędza w Szkole Sztuk Pięknych; uczy się tam rysunków. Mieszka w małym pokoiku razem z koleżankami: Zosią i Witą. Marzy o własnym kącie, gdzie mogłaby skryć się przed ludźmi ze swymi marzeniami i „bazgraniną”. Popołudnia wypełniają jej wizyty, lekcje języka francuskiego, odwiedzanie zaprzyjaźnionych domów. Przyjaźni się z ludźmi, o których nieraz jest mowa w pamiętniku, m.in. z panną Marychną Jugedfein, panem Żmudą, państwem Brzezińskimi na Prądniku.

Czasem wpada do pokoiku trzech dziewcząt kolega z lat szkolnych, Stefan U., którego Maria lubi „tylko dlatego, że można się z nim nagadać o naszych chłopcach, tj. uczniach tatusia, a zwłaszcza o jednym (lubię go więc tylko przez protekcję pana Józefa)”. Zagląda często do szpitala, gdzie w jesienno-letnich miesiącach przed dwoma laty była sanitariuszką. Ale obecnie jej stryj nie chce zgodzić się na dalszą tam jej pracę, uważając, że powinna zacząć poważnie studiować, a potem zdecyduje dopiero, czy do szpitalnej pracy ma istotnie powołanie. Na razie więc rysuje z zapalem. W jej zachowanym do dziś szkicowniku widnieją różne postacie, studia głów, rąk, misternie wyczelowane liście, kwiaty.

Daje o sobie szereg przyrzeczeń: studia — historia sztuki, plany zarobkowej pracy, bo „to wstyd — jak pisze — żeby dziewczyna po maturze w dalszym ciągu zawdzięczała wszystko swym rodzicom”.

W czwartym kwartale tegoż roku przenosi się do Warszawy. W pamiętniku wiele stron poświęca życiu uniwersyteckiej młodzieży. Studiuje nadal sztuki piękne. Po wiecu młodzieży w dniu 6 listopada i uchwałach o natychmiastowym wstępowaniu do polskiego wojska Maria Wrzokówna zgłosiła się do jednego z kapitanów — organizatorów oddziałów sanitarnych, prosząc o przyjęcie. Po trzech dniach, w poniedziałek 11 października, otrzymuje rozkaz wyjazdu do szpitala do Ostrowia. I tam rozpoczyna służbę. Pierwsze dni nie dostarczają jej jeszcze zbyt wielu silnych przeżyć. Bezustannie myśli o panu Józefie.

23 listopada. Cicho, spokojnie w szpitalu dni płyną. Chodzę czasem, gdy mam chwilę wolną, do parku 2-go pułku, jeszcze niedawno tak gwarnym, dziś pustym, smutnym — prawdziwie jesiennym. Nałamałam w lasku za parkiem gałązek sosnowych, młodych, jędrnych, pachnących żywicą. Przybrałam niemi moją izdebkę, pachnie mi tam, jakbym spała w lesie. Jego fotografię przybrałam prześlicznie w jesienne bukiety, tj. kulki czerwone, czarne, białe — jarzębiny, wilczej jagody i śnieguły. Tak ma ładnie on w tym lasku, a właściwie w altance. Patrzę nań w tej chwili. Tęsknię, tęsknię szalenie...

Coraz bardziej niepokoi się o bliskich; od dziadków, od matki, od swej siostry Jagody z Warszawy nie ma od dawna żadnej wiadomości. Poczty i telegrafy są nieczynne. „Beniaminek oficerskiej sali” — tak została mianowana po kilku dniach pracy w szpitalu — głowi się więc, czy nie udałoby się znaleźć do załatwienia jakiejś służbowej sprawy, aby bezpośredni jej szef, kapitan Borkowski, mógł wysłać ją choćby na dzień jeden do Warszawy. Ale na razie okazuje się to niemożliwe; zbyt wielu rannych wymagających opieki potrzebuje jej pomocy i nocnego czuwania.

W owym czasie w bardzo rzadkich wolnych chwilach namiętnie rysuje, zapelniając całe strony małego szkicownika. Na jego kartkach uwiecznia ołówkiem popularne postacie ze swego szpitalnego pobytu w Ostrowiu. Są to udatne portreciki, niezłośliwe, dowcipne quasi-karykatury, świadczące o obserwacyjnym darze i talencie autorki. Oto „plutonowy Wardas — szef kancelarii” — jak informuje podpis, legun z kartofelkowatym nosem, z zatkniętym za uchem długim piórem, kreślący coś z powagą biuralisty na wielkim arkuszu. Dalej pod objaśnieniem: „Wykład anatomii prof. Kunzelki kpt. W.P.”, młodociana artystka umieściła kościotrup człowieka z czaszką, w której miast oczodołów widnieją o melancholijnym wyrazie — oczy. Sam profesor z gęstą długą brodą, z sumiastymi wąsami, ale za to z mocno przeredzoną czupryną, patrzy na ten to obiekt swoich

wykładów z zabawnym przerażeniem. „Pan felczer Salzmann” z kolei, w komicznych sabotach na grubej drewnianej podeszwie, podwyższających jego maleńką postać w białym fartuchu uformowanym na plecach w wielbłądzi garb, przygotowuje się z błogim wyrazem twarzy do robinia zastrzyków, trzymając w pogotowiu ogromną strzykawkę w małych dłoniach. „Kapral Grzegorz Wronowski” z zalotnie opadającą na czoło falą włosów, narysowany 28 listopada, w dzień swego patrona, był widać nieco trunkowy; szczęściem – nie na służbie, siedzi bowiem w wygodnych papuciach, mundur ma rozpięty, a na kolanach piastuje ogromną butelkę sięgającą mu szyjką aż pod nos. I jeszcze z uwodzicielską miną, z kwiatkiem w dłoni — Mietek. Adamus, sięgający bez mała powały — „Kaziek” Walczyński, porucznik Grot... Tymi i jeszcze innymi rysunkami Maria upamiętnia pracujące tam wówczas osoby, ocalając od zapomnienia ich nazwiska, fizjonomie, a także i atmosferę — żartu, zabawy; ten uśmiech i wesołość dobroduszej kpiny były potrzebne, nieodzowne w tym szpitalnym życiu, niespokojnych dniach i nocach, znaczonych raz po raz zgonami rannych żołnierzy.

Z opisywanych przez Marię w pamiętniku chwil służby w Ostrowiu szczególnie jedna scena chwyta czytelnika za gardło: to o matce młodziutkiego porucznika Gawrońskiego i jego śmierci w ostrowskim szpitalu:

Porucznik Gawroński był pierwszym z umierających, których tu zęgnałam. Śmierć jego zrobiła na mnie wielkie wrażenie. Jeszcze o 3.00 po południu siedziałam przy nim, rozmawiałam, opowiadałam o wymarszu II baonu 1 pp., do którego należał; był prawie przytomny, zrywał się, żeby też iść z baonem. O 6.00 już nie żył. Tej nocy przypadał mój dyżur. Ile razy obchodziłam sale, wstępowałam i pod 30 nr do jego separatki. Miałam wrażenie, że on mnie jeszcze potrzebuje, że jeszcze mu w czymś pomóc mogę. Patrzyłam na te rysy, zastygłe, spokojne na wieki.

Matki nie było przy jego śmierci. Telegram spóźnił się widocznie. Biedny chłopczyzna, taki młody jeszcze, zaledwie dwudziestotrzyletni. Głaskałam jego zimną, szczupłą rękę i głowinę o złotorudych włosach — może odczuje, może mu miłą będzie w braku matczynej choć taka siostrzana pieszczota...

Gdy tak stałam pogrążona w smutnych myślach przy jego łóżku, rozległy się kroki ciężkie i wsunęła się najpierw kopcąca latarka, a za nią czworokątna głowa pocziwego plutonowego Wardasa, który ze mną pełnił służbę. Wszedł, zęgnając się trwożliwie, bo jakkolwiek staremu żołnierzowi, i to wysłużonemu karpaczykowi śmierć nie pierwszyczna, ale to zawsze nie bardzo rażno tak sam na sam z nieboszczykiem. Gdy mnie ujrzał, jeszcze mu bardziej oczy ze strachu skołowaciały, ale wkrótce opamiętał się, że to nie żadna dusza pokutująca, ino siostra dyżurna we własnej osobie.

— Siostrzo Halino (tak mnie tu, w odróżnieniu od innych Marii, drugim moim imieniem nazywają), nie boi się siostrzyczka porucznika? — pytał w wielkim zdumieniu.

Doprawdy, że mnie rozśmieszył, choć mi przecież nie było wesoło. Wyprawiłam pocziwca, żeby się położył trochę, a sama z latarką poszłam do chorych. Naraz słyszę gwar i w korytarzu spotykam wartę, która mi melduje, że przyjechała matka por. Gawrońskiego. Zimno i gorąco mi się zrobiło. Och, ciężkie miałam zadanie — i nie starczyło mi do niego siły. Powiedziałam biednej matce, że tu nowa i nie wiem nic, ułożyłam ją w swym pokoju, uspokoiłam, jak mogłam, i poszłam zbudzić starszą siostrę. Wczesnym rankiem poszła do niej starsza siostra, by ją jakoś przygotować, a ja uciekłam do moich chorych na drugi koniec korytarza. Tak mi było okropnie... Słyszałam potem straszny, rozpaczliwy, obłąkany krzyk na korytarzu; siostra starsza i siostra Wanda prowadziły nieszczęśliwą matkę. A potem usłyszałam jeszcze jeden jej krzyk: „Józku mój, dziecino moja!...”

I mój Józek mi się przypomniał i zaczęłam strasznie, rozpaczliwie płakać. Przybiegła siostra Mieczysława, zaczęła mnie całować i uspokajać, i unosić się: „Jakie to dziecko ma złote serduszko”. A mnie było wstyd, bo już właściwie nie płakałam nad porucznikiem i jego matką, ale chyba raczej nad sobą i nad chłopcem moim.

Od tej pory tylu już konających widziałam. Śmierć jest tutaj częstym gościem. Nad tymi chłopcami nikt tu nawet nie płacze, kapelan namaści ich jeno pośpiesznie, siostra dyżurna „Zdrowaś” odmówi, tylko wieczny mazgaj „siostra Halina” wypłacze się zawsze w kącie sali. Śmieją się z niej wtedy

wszyscy, ale nie chorzy; oni proszą: „I po mnie popłacze siostrzyczka, dobrze?... Siostrzyczko!...”

Część druga

## PODWÓJNE LUSTRO

Małżeństwo

A więc jest już mężatką, a ten, któremu odpowiedziała „tak” na jego oświadczyzny, spełnia większość warunków, jakie stawiała nieraz w marzeniach temu wybranemu, jedynemu. Przede wszystkim walczył za Ojczyznę, pierś zdobią mu krzyże — Krzyż Walecznych, Virtuti Militari... Pięknie prezentuje się w mundurze, któremu w czas pokoju, w wolnej Ojczyźnie, pozostał nadal wierny jako zawodowy oficer. Jest wysoki, czuły, opiekuńczy, ale i nieco władczy. Pragnie dać żonie mocny grunt pod to, co ma być strukturą jej wewnętrznej egzystencji. Jeszcze przed ślubem mówiła mu o swych marzeniach, zapisywanych już przed pięcioma laty w pamiętniku: „Czuję, że przeznaczeniem mojem jest jakieś życie pracowite, a zarazem ciche, spokojne, pełne harmonii, miłości, wewnętrznego pokoju. Chciałabym ukochać nad wszystko, nad własne istnienie, człowieka szlachetnego, mądrego i mnie również nad życie kochającego. Chciałabym, żeby więcej niż mnie kochał tylko Polskę. Takiemu człowiekowi potrafiłabym poświęcić się bez zastrzeżeń, umiałabym, jak powiada Konopnicka, nie krępować skrzydeł jego, lecz być dobrym jego duchem, tarczą jego czci”.

— Stworzę ci taki dom — obiecywał, gdy ujawniała mu teraz te skryte ongiś na kartkach dzienniczka pragnienia i życiowe założenia. Próbował dostosowywać się do jej stylu, obcego mu, a nawet śmiesznego w męskim gronie: — Stworzę ci cichą przystań, gdzie staniesz się opiekuńczym duchem naszego domostwa, ciepłego, rodzinnego, prawdziwie polskiego gniazda, w którym będą dorastać nasze dzieci. Będziemy strzec jego honoru, szczęścia i pokoju. Widzę cię, Marysiu, pogodną, uśmiechniętą, słuchającą z uwagą opowieści, co się zdarzyło danego dnia, jakie mam plany na jutro. Wspólne posiłki, czarna kawa, koniecznie ze śmietanką, parująca wonna herbata nalewana przez ciebie do mojej filiżanki. Bywanie na odświętnych akademiach, „gwiazdkach”, „jajeczkach” i „zajaczkach”. Będziesz ozdobą rautów, zabaw w oficerskim kasynie. Nie będzie zbyt wiele pracy dla twych ślicznych rączek; moja żona, prawdziwa pani mojego domu, zarządzi tylko dając dyspozycje memu ordynansowi i służącej... Nic pozwolę ci się trudzić...

Na jej nieśmiało sprostowanie, że bardzo lubi pracę i że w ich wspólnym życiu niekonieczne jej jest zbyt częste bywanie, towarzyskie spotkania w rodzinnych kołach wojskowych, zabawy, wymyślanie wraz z innymi paniami programów „tańczących herbatek” czy żywych obrazów na akademie, odpowiadał ze śmiechem: „Żonka polskiego oficera powinna reprezentować męża wszędzie tam, gdzie on musi i lubi bywać; to jest jej obowiązek. Kochając mnie, pokochasz i ten rodzaj służby, tym bardziej że wiąże się on często z przyjemnością, zabawą, strojami, muzyką, a ja wiem, że kobiety j to lubią, ach, jak lubią. Wśród pułkowych pań ty będziesz najładniejsza. Piękna z nas para. Ty — przy moim boku, ja — w mundurze; wszyscy mi będą ciebie zazdrościć. Razem z jego słowami, napływały obrazy; widziała siebie, wchodzącą wolno po stopniach. On — w pełnej gali, ona w sukni koloru wrzosu — jest to jej ulubiony od dziecka kolor — szmer, iskrzenie świateł, gwar dobiegający z balowej sali. Przytłumione szepty, chylą się głowy pułkowych kolegów męża w szarmanckim pocałunku jej dłoni, tańce, rozmowy...

Tu zatrzymywał się film jej wyobraźni. Rozmowy? O czym?... O jej latach gimnazjalnych, o tęsknocie za rodzicami, siostrami?... Nie, to byłoby zbyt dziecinne, i, broń Boże, ośmieszyłoby nie tylko ją, ale i męża. Wspominki o służbie sanitariuszki w Wojsku Polskim?... Na balu?...

Niewłaściwe ku temu miejsce i pora, aby mówić o ranach, bandażach, pożegnalnych nad trumnami salwach. I nietaktownie byłoby także opowiedzieć, nawet „na wesoło”, taką na przykład historię o kapralu Dionizym, który kiedyś ku zgorszeniu kapelana i siostry starszej, pragnąc odpędzić strach przed śmiercią od ранnego kolegi, przytomnego, lecz odchodzącego już ze świata, uraczył go sprośną piosenką, czyniąc przy tym tak zabawne miny, że wywołał ostatni uśmiech na twarzy umierającego. A potem dopiero w kącie, na boku, rozplakał się.

Pozostałyby jeszcze rozmowy o poezji, sztukach pięknych, malarstwie. Ale cóż to za tematy w tej ulotnej zabawowej atmosferze, gdzie jedno nie skończone zdanie jest lekko i szybko, jak mydlana

bańka, zdmuchiwane przez następne, na zupełnie inny temat. Odłoży więc te dyskusje na inne okazje. A tu na balu podda się tej aurze przyciszonych rozmów, dobrej muzyki, odświętnych strojów, odświętnych zachowań, dyskretnych taksowań urody, ubioru, śmiałych spojrzeń mężczyzn, w których, jak zwykle, ujrzy nieklamany zachwyt. Ożywi to ją zapewne, podnieci. Może być całkiem przyjemnie...

Stop! Nagła refleksja. Nie można już będzie odpowiedzieć na zachwyt w oku młodzieńców, podjąć wyzwania do dalszej gry — słów, spojrzeń, ruchu dłoni... Będzie już żoną polskiego oficera, przyszłą matką Jego dzieci, „tarczą jego czci”, a bronić tej czci winna przede wszystkim ona sama postępowaniem według ściśle ustalonej towarzyskiej konwencji.

Tak to puszczając wodze myślom, wprawiając w ruch różne obrazy przyszłości, jawiące się na ekranie jej wyobraźni, sposobiąc się do roli przyszłej małżonki polskiego — już wtedy kapitana, stanęła na ślubnym kobiercu z Marianem Stachelskim wiosną 1922 roku.

Ten przysłowiowy kobierzec był autentycznie wspaniały, podobnie jak i orszak, podobnie jak i śpiew płynący z chóru. Światła, kwiaty, karoca, lśniąca jak połyskujący śnieg — sierść koni, wesola od wiwatów uczta weselna w rodzinnym domu panny młodej. Patrzy na swą prawą rękę. Widnieje tam złota, dukatowa obrączka z wyrytą datą ślubu i inicjałami: „M.S.” Pragnąca kochać, poświęcać się, stać na straży, bronić czci, recytująca „biada, kto odda Ojczyźnie pół duszy”, oto wypełniła swą misję: stanęła na zawsze przy boku żołnierza — bohatera, którego herbem są dwie blizny — co prawda nie na przysłowiowym czole czy policzku — ale na nodze i na ramieniu. Pragnie mu odtąd — z całą wiarą, miłością i nadzieją, że się jej to uda — służyć!

Patrzy teraz na siebie, na tę egzaltowaną dziewczynę sprzed sześciu lat, gdy w czepeczku chodziła po salach krakowskiego szpitala. Wtedy na korytarzu ujrzała jego — teraz jej męża — który prosił, aby poprawiła mu bandaż na nodze. Jaka była wówczas niedomyślna: bandaż bowiem był tylko pretekstem do nawiązania rozmowy, a pytanie: „Czy siostrzyczka może poczytać mi coś z poezji?”... nie miało w sobie nic z jego rzeczywistego pragnienia. Chciał zyskać zainteresowanie Marii. Wiedział, że pochłania tomiki poezji, słyszał, jak recytuje z pamięci leżącym na sali rannym żołnierzom swe ulubione wiersze Romanowskiego:

Co tam marzyć o kochaniu

O bogdance i róż rwanu

Dla nas nie ma róż!

My jak ptacy na wędrowce

Dziś tu, jutro na placówce

Może staniem już...

On — kochający życie, radość, walkę, nie zgon — dzielił głośno, wbrew sobie, jej przekonanie, że każdy żołnierz winien pragnąć i marzyć o „śmierci na polu bitwy, na polu chwały za Polskę ukochaną”. Mówił, że kocha poezję tego powstańczego poety, a szczególnie zwrotkę:

Jeśli polegnę — niechaj mi w nagrodę Za Was nie kładą pamięci kamienia! Ziemią niech piersi przysypią mi młode — Mój kurhan niech mi trawa ozienienia...

Patrzył z rozrzewnieniem na pensjonarskie szczere uniesienia dziewczyny, na te dziecinne jeszcze w wyrazie oczy i na usta, wydatne, intensywnie różowe, już kobiece. Pragnął bliżej poznać Marię. Ale po kilku miesiącach pracy w szpitalu dziewczyna gdzieś zniknęła. Dowiedział się od jej stryja, że powróciła do nauki.

Minął rok 1916, mijały następne lata wojny, walki, bitew na różnych frontach; przychodziły rozkazy nowych wymarszów. Porucznik Marian Stachelski często wspominał siostrzyczkę w myśli, nosił jej fotografię w szpitalnym otoczeniu „legunów”.

Spotkali się, właściwie przez przypadek, w końcu 1921 roku. On prawie nic się nie zmienił. Ta sama szczupła figura, te same męskie zdecydowane rysy twarzy. Ona z jeszcze bez mała wówczas dziecka przeistoczyła się w kobietę, o której można powiedzieć, że jest śliczna i powabna. Postać dziewczęca, ładne, smukłe nogi, niebieskie oczy pod ciemnymi brwiami napiętymi w łuk. I to, co się nazywa kobiecym wdziękiem promieniującym z uśmiechu, przechylenia głowy, ruchu dłoni, łagodnego ciepłego spojrzenia. Co bystrzejszy obserwator domyśliłby się jednak, iż w tej niebieskookiej ktoś, kogo by pokochała, mógłby rozpaść ogień namiętności, obudzić zmysłowość.

Ale tego i o ma sobie na razie nie uświadamiała. Po ślubie zamieszkali w przestronnym mieszkaniu w pobliżu koszar. Z żarliwą ochotą poddała się przeznaczeniu żony żołnierza bohatera, kapłanki domowego ogniska, strażniczki jego czci i honoru. "Codziennie od rana stawała w pełnym rynsztunku — uśmiechu, starannie ułożonej fryzury, z czujnym wzrokiem na filizance męża: czy nie należy ostrożnym strumyczkiem dolać mu z dzbanka kawy. Mąż nie życzył sobie, aby w tym śniadaniowym obrządku pomagała jej służba. Dopiero potem, gdy już wychodził do pułku, wydawała dyspozycje, co kupić, co przynieść, co lubi na deser pan kapitan (a wkrótce już — major), uczyła ordynansa starannie froterować podłogi, glansować buty „do pucu”, aby świeciły jak to lustro wiszące w ciężkich dębowych ramach nad owalnym małym stolikiem w przedpokoju. Nudziło ją to aż do mdłości. Czuła się poza tym jakby zażenowana w roli pani wydającej dyspozycje... poddanym. Czasami wydawało jej się, że tylko chwilowo gra rolę dorosłej osoby i jeszcze moment, a roześmieje się i pobiegnie do swoich sióstr, koleżanek, do tamtego świata młodzieńczych uniesień, gorących dysput, nieszkodliwych flirtów, uczniowskich kawałów, ogromnych radości, ogromnych zmartwień — wszystko miało tak wyolbrzymione znaczenie, gdy było się jeszcze dziewczyną i taką ostateczną wagę nadawało rzeczom i sprawom nieostatecznym. Lubiła popołudnia. Mogła je mieć tylko dla siebie. Siadywała wtedy w głębokim fotelu, zrzuciła pantofelki i kładła obok na stoliku z książkami pudełko czekoladek. I jak mała dziewczynka z podciągniętymi prawie pod brodę nogami pograżała się w lekturze. Przeważnie były to tomiki poezji. Wieczorami, po wspólnej kolacji, lubiła malować lub rysować w szkicowniku. Początkowo godziny te spędzali na ogół razem. Maria lubiła dom i niechętnie, choć starała się tego nie okazywać, towarzyszyła mężowi w różnych spotkaniach. A okazji do wyjść nie brakowało. Nużyły ją te reprezentacyjne obowiązki pani majorowej. Dom jawił jej się w tej sytuacji jako przytulne schronienie przed całym nieciekawym teraz dla niej światem. Te ciągle: „Dzień dobry, jak się pani majorowa czuje?”, „Jak pani świetnie wygląda”, „Czy państwo wybierają się w karnawał do Warszawy?”, „Czy ta suknia jest od...?” Ta wymiana grzeczności, przepisów kulinarnych, ukłonów i słów ściśle określonych na daną okazję — przyprawiała ją o czczość. Te kawki, ciasteczka, pogawędki w gronie pań, rozmowy o krawcowych, fryzjerach, kuśnierzach... Dotkliwy brak odzewu na tych oficjalnych i półoficjalnych przyjęciach, na czynione nieśmiało w rozmowach uwagi o sztuce, o poezji.

Początkowo pan major zafascynowanie żony poezją, jej głośne recytacje przyjmował pobłażliwie. Jaka ona jest jeszcze spontaniczna — myślał — dziecinna i romantyczna. Po pewnym jednak czasie zaczęły nużyć go literackie wieczory. Nie potrzebował nawet mówić tego wprost. Maria zauważyła z przykrością, jak ukradkowo ziewa, zerka to na trzymaną w ręku gazetę, to przez okno. Często zaraz po kolacji przenosił się do gabinetu. „Ileż to jeszcze pracy na jutro” — tłumaczył, całując ją w policzek. Stwierdziła, że interesują go jej rysunki i że sam interesuje się sztuką. Pokazywał przecież niedawno namalowane przez siebie widoczki, wyrzeźbione w drewnie postacie legionowych kolegów, artystyczne fotografie, które sam wywoływał, sam robił odbitki. Kiedyś zaproponowała mu, aby ozdobili pokoje własnymi obrazkami, jego rzeźbami z drewna. Bał się śmieszności — to nieeleganckie i pensjonarskie wieszać swe prace w mieszkaniu, gdzie gości często pułkowych kolegów. W rezultacie tylko jeden z pokoi, ten mały, zwany bokówką, stał się schronieniem dla ich prac. W innych pomieszczeniach sztapowe, solidne umeblowanie zostało przez Marię zindywidualizowane tyłoma artystycznymi elementami, że każdy mógł od razu zauważyć rękę osoby o dużym smaku, o upodobaniach formowanych przez tradycje, przez uczucia, a nie przez obowiązujący konwenans bogatej nowoczesności, styl na pokaz. Stoły masywne, fotele, zdobne drzwi szaf, kredens o filarkach i kondygnacyjkach przypominający drewniany ołtarz, wysokie tremo, obowiązkowy fortepian, zdobne kwietniki ze spływającym listowiem, biblioteka za szkłem z równo ustawionymi jednolicie ciemnozielonymi w kolorze tomami — owszem, ale jeszcze i piękne, ręcznie tkane kilimy, kompozycje z suszonych ziół i kwiatów, wrzosowe bukiety w żardinierze, etażerki ze swobodnie ułożonymi książkami w miękkich sztywnych i półsztywnych oprawach, w różnych kolorach, o rozmaitych rysunkach. Nad kozetką drewniana półka z ludowymi dzbanuszkami, za szkłem serwantki w odpustowej szklanej kuli wypełnionej wodą pływają wodorosty, małe gąski i podskakuje pilnujący je pastuszek z kijkiem w rękę.

W rogu gabinetu męża — nieruchoma defilada przedmiotów z tamtych dawnych lat, pełnych uniesień, snów, marzeń, urealnianych zbrojnym czynem. Niemi świadkowie scen minionych, przebrzmiałych, a mimo to wywołujących z tego popieliska wciąż na nowo żywe iskry; na rozpiętej buczańskiej tkaninie — stare ryngrafy, krzyżyk hebanowy z okresu narodowej żałoby, ciemny wizerunek oblicza Częstochowskiej, błysk skrzyżowanych szabl, spłowieły strzęp wyszywanego złocistymi literami sztandaru. I jakaś czapka żołnierska, pełna plam i dziur, tak sponiewierana, że ledwie pozwalała domyślać się swej barwy, kształtu, daty.

Ach, z jaką niechętną pasją w czternaście lat później będzie znęcał się Zegadłowicz nad tymi relikdami, symbolami. W pacyfistycznym uniesieniu zobaczy zbudowane z cegły koszary w kolorze „czerwonym jak jatki”, szyderstwem obrzuci orderzy na mundurze „pana wojownika (stopniowo — porucznika, kapitana, majora), co wsie palił i zestrzeliwał samoloty”, a i ją samą — Maryłę, „polską, typowo polską dziewczę, nietkniętą i rumianolicą”, kochającą „Słowackiego, Warneńczyka, uwielbiającą Wyspiańskiego, komendanta i legiony”. Będzie on, poeta, ranił ją kpina, aby wyplątała się wreszcie z tych ciężkich brokatowych kotar, z bieli tiulowych firan zasłaniających okna, aby porzuciła te solidne dębowe łóżka, pożegnała kilimki gliniańskie, skrzyżowane szable na ścianie i przeszła z nim do innych okopów, gdzie „ziemia drży buntem poetyckich salw” i gdzie kuli się „ze strachu militarny bóg”.

Wspomnienia — wspomnieniami, krzepiący pokarm tradycji — pokarmem, ale z żywymi trzeba naprzód iść... Major coraz więcej czasu poświęcał zajęciom poza domem; zrozumiałe — czasy coraz to bardziej skomplikowane politycznie, niepokoje wewnętrzne. A więc narady, wykłady, ważne spotkania, wyjazdy do Warszawy... Gdzie znaleźć teraz czas na rzeźbienie, fotografowanie, wspólne lektury? Jeśli już człowiek ma tę wolną godzinę, to woli raczej pograć w bilard czy pomajstrować przy radiu w domowym gniazdku.

A w tym gniazdku ma się narodzić wkrótce już drugie pisklą. Pierwsze, dziewczynka, urodzona w półtora roku po ślubie, nosi imię babci: Anna, i ma już prawie dwa latka. To drugie dziecko będzie się nazywać — Jan lub Izabela; zależy, co Bóg da.

Maria nie ma teraz zbyt wielu wolnych chwil dla męża; to nawet i dobrze, bo pan domu też nie ma ich dla niej za dużo. Zdarza mu się coraz częściej nie przychodzić na kolację. Zamiast wyrzutów sumienia — usprawiedliwienie: nic ci nie brakuje, zaspokajam przecież wszystkie twoje potrzeby, służba w domu jest, więc w ciszy, w spokoju możesz rozkoszować się swoją poezją, czytywać liczne prenumerowane pisma literackie, nawet i od rana, bo już teraz nie wymagam, abyś mi akompaniowała przy śniadaniu.

A że grymasi czasem i powtarza, że jest zaniedbywana, że czuje się zbyt samotna — są to przecież normalne w takim stanie utyskiwania i żale kobiety — usprawiedliwia się sam przed sobą. A poza tym — to nie on, lecz raczej ona zmieniła się od pewnego czasu, nie ofiarowując mu się już z takim bezpamiętnym oddaniem jak dawniej. Jeśli nawet uraził ją kiedyś studząc jej gorącą egzaltację stwierdzeniem: „Miłość? Czyś ty spadła z byka? To dobre dla poetów”, to przecież było to tylko dla jej dobra i przyszłego wychowania dzieci. Pragnął bowiem, by nie bujała tak ciągle w obłokach, by nie mówiła wśród łez, że pragnie miłości, spójni dusz, nie błądziła w oparach wyobraźni, w romantycznym oczadzeniu. Są chwile w życiu człowieka, gdy dla innych, a często i dla samego siebie, musi nastawiać swój diapazon na odświeżne tony, ale w ich ustabilizowanej sytuacji należy wreszcie zacząć wyprzedzać owego... patosu. Życie można uprzyjemniać pięknymi kolebankami, ale nie mogą być one treścią bytowania.

Praca, obowiązek, posłuszeństwo zwierzchnikom, wychowanie przez dyscyplinę, dobrze zorganizowany dom, przykładna żona, udane dzieci, rozrywka: bridż, bilard, a czasem dla odświeżenia, dla wzbogacenia pola doznań i jakaś ładna, szykowna kobietka... I nie pić za dużo, jeden, dwa kieliszki przy jakiejś okazji, spać odpowiednią dla organizmu ilość godzin; żadnych męczących snów, żadnych przed udaniem się na spoczynek męczących rozmów. Tylko na dobranoc pocałunek i czułe życzenie: Śpij dobrze, kochanie!... Żyć bez zmartwień — oto dobra dewiza. A zmartwienie już jest! Dom, a w nim coraz gwałtowniej przeciwstawiające się sobie dwie odśrodkowe siły, dwie racje, dwie konstrukcje psychiczne, dwa odrębne sposoby patrzenia na tę samą sprawę. Nie daje to gwarancji, że w ścianach takiego domu nie powstaną niebezpieczne

szczeliny i szpary, przez które stopniowo zacznie ulatniać się ciepło, wewnętrzny spokój, że nie będą sączyć się złe opary plotek, nie napłyną do mrocznych wyziębionych pokoi echa i szepty z dawnych słonecznych lat — obrazy pojawiające się, to znów znikające: wielkie liliowe pola wrzosu, „elastycznego, wonnego, miękkiego”, łany astrów u babci w Kęblinach, postaci kolegów i koleżanek na zakopiańskich Krupówkach w radosnym pomaturalnym marszu, pan Józef tulący do ust jej dłoń, rynek krakowski w manifestującej wrzawie, ona — z czerwonym krzyżykiem na rękawie — idąca Krakowskim Przedmieściem, jesienne drzewa brunatniejące za oknami szpitalnych sal...

I te śpiewy, te wiersze: „Ach, kiedyż za Ciebie w bój skoczym spragnieni, o, Polsko, ty matko miłości?”...

Jeszcze próby uciszenia buntu: nie należy za bardzo poddawać myśli imaginacji, dodawać barw dawnym obrazom. Grozi to obsesją, niosącą z sobą gorycz, żal, bezpłodne, zatruwające tęsknoty. Trzeba pogodzić się z tym, że przyszedł drugi etap życia, życia dojrzałego. I właściwie ma wszystko to, o czym marzyła: przykładne ognisko domowe, męża, którego niejedna może jej pozazdrościć, dbającego o dom, kochającego ją i tę maleńką kruszynę — jasnowłosą Anię o niebieskich oczach, cieszącego się, że wkrótce będzie parka dzieci.

Mimo pracy przy dziecku Maryla ma czas na malowanie, na czytanie, co czyni siedząc sobie w wygodnym fotelu, w przytulnym saloniku z filiżanką pachnącej czarnej kawy, przygotowanej przez poczciwego Kazimierza ordynansa, chłopaka pochodzącego ze zbiedniałej wioski podlubelskiej. Kazimierz podając jej kawę uśmiecha się od ucha do ucha. Kontent jest, widać, z tej nieżołnierskiej przecież służby: wikt tu wspaniały, obfity i pani odzywa się zawsze grzecznie, nie jak do parobka, ale jak do człowieka.

To aż nieprzyzwoite, że ten dostatek, luksus bez mała, nie daje jej ani szczęścia, ani nawet zwykłej codziennej radości.

Kiedy jest się w takiej psychicznej sytuacji, zazdrościć można pewnemu poecie, o którym dopiero niedawno usłyszała, a który mieszkając kiedyś w Warszawie w więcej niż skromnym pokoiku, stworzył w jednej ze swoich ballad taki obraz:

(...) pokój wynajęty  
z meblowiną biedną —  
może być jak sacrosanctum — świąty  
— wszystko jedno —  
Z kanapy zwichniętej  
i krzeseł trzech  
może się radość począć,  
zamienić w śmiech  
już widzę — jak się czai — jak skrada wzdłuż ściany  
słoneczny, pijany,  
w tysiąc roztrąca się ech  
rozbija okno

Tu, u niej w domu — cisza. Szyby okien nie dźwięczą śmiechem, mąż znów wróci dziś późno. Czy zatrzymuje go tylko praca i poważne sprawy służbowe?... Różne dochodzą już do niej na ten temat wieści.

Dom już uśpiony, Ania od dawna w łóżeczku, a ona jakoś nie może zasnąć. Sięga więc po jeden z leżących na nocnej szafce tomików. Są to „Powsinogi beskidzkie”. Mało jej mówi nazwisko autora: Emil Zegadłowicz. Gdzieś kiedyś wyczytała, że po likwidacji Ministerstwa Sztuki i Kultury, któremu przewodził głośny Miriam — Zenon Przesmycki, Zegadłowicz, pracujący w owym MSIKU jako referent od literatury, przeniósł się do swego rodzinnego domu w Gorzeniu.

Gorzeń Górny — sama ta nazwa ma w sobie coś z żaru i lotu płomieni.

Jakże inne niż te wszystkie młodopolskie meandry skojarzeń, hiperboliczne, o niezdrowym sztucznym klimacie utwory, wydają się wiersze poety z Gorzenia. Jak bliskie człowiekowi, pełne miłości dla ludzkiego trudu są te jego melodyjne jakby przyspiewki, pogwarki, gawędy o kamieniotłukach, sadownikach, piecarzu-zdunie, co sam bez pieca, „som bez chleba, bez domu,

buduje gdzie i komu potrzeba", o szklarzach, świątkarzach, o bożych druciarzach:  
Drutujesz, bracie, garnki  
Podrutuj mi serce!

„Emilek" — syn Tytusa i Elżbiety

Napisał kiedyś autor „Powsinóg beskidzkich", że dwór w Gorzeniu Górnym, ów „stary, właściwie posepny dom został przerobiony ze zboru ariańskiego". O ile zgodzić się można, że owo przepaściste dworzyszczce, o nie określonym do końca stylu, rzeczywiście w swoim wnętrzu było dość posepne, o tyle między zegadłowiczowskie mity włożyć należy ariański rodowód budynku. W tym to przyciężkawym dworze o pałacowych w wystroju ambicjach, kupionym przez Tytusa Seweryna Karola Zegadłowicza — a stało się to około roku 1865, w latach pow powstańczych — urodził się w 1888 r. i mieszkał bez mała przez całe swe życie beskidzki poeta. Dwór, o izbach przestronnych, lecz nieprzytulnych, o sieni kamiennej z zinnem wilgoci ciągnącym od ścian, ogarniała bujna gęstwina traw i drzew różnego wieku, różnych gatunków, o różnych, często egzotycznych nazwach. To ojciec Emila, ów Tytus Seweryn Karol, „romantyk czystej wody" — jak napisze o nim w przyszłości syn — „były ksiądz grekokatolicki" przybyły tu z dalekich kresów, zagęszczał tak i upiększał przypałacowy park. Poza tym „muzykował, pisał wiersze, hodował kwiaty".

Poetę wykołysał nie tylko szum gorzeńskich drzew, ale i rodzicielskie przekazy z przeszłości; wspominał o tym w jednym z listów: „rodowód mój to także — Ukraina, łąki zielone Budziejowic, złota Praga". Złota Praga, Budziejowice — stamtąd przywędrowali przodkowie matki. Jako panna mieszkała ona w odległości kilku kilometrów od Gorzenia, w Wadowicach, gdzie jej ojciec, Czech z pochodzenia, Waław Kaiszar, był organistą, a zarazem i kompozytorem. Panna Elżbieta Kaiszarówna uczyła wadowickie dzieci, a nawet i własną bratową gry na skrzypcach i na fortepianie. I właśnie ta bratowa, późniejsza rezydentka Emilowego domu, Wanda de domo Zawieruszyńska, była świadkiem narodzin miłości między przeszło sześćdziesięcioletnim Tytusem i ponad trzydziestoletnią Elżbietą. „Jeśli istnieją duchy predystynowane dla siebie, to były niemi duchy Tytusa i Elżbiety — unosił się po latach nad pięknym tego małżeńskiego związku syn Emil. — Stworzyli świat poza światem, w którym dźwięki zakwitły, a kwiaty grały. Oto rodzice moi! Wychowałem się wśród kwiatów i muzyki". Ciotka Wanda była świadkiem nie tylko rozkwitu uczucia dwojga dojrzałych ludzi, ale i przyjścia na świat ich jedyne go syna. Sama nie miała dzieci, więc on zaspokajał wszystkie jej uczucia macierzyńskie, opiekuńcze. To mogło być dla Emila względnie dobre (szczególnie, gdy odumarli go rodzice), ale do czasu. Gdy jednak u jego boku pojawiła się młoda kobieta imieniem Maria, pulchna, ponętna, troskliwa, i stała się jego żoną, wdarły się niepokoje, a kwasy poczęły żreć gładką spokojność gorzeńskiego domowiska.

Maria, kobieta o ogromnych łagodnych oczach pod szerokim łukiem krzaczastych brwi, o miękkiej linii wydatnych ust, miała z Emilem dwie córeczki o niezwykłych imionach: Atessa i Halszka (ojciec pisał zawsze: Halzka), a z ciotką Kaiszarową — prawdziwy krzyż Pański. Trzeba przyznać, że wykazywała w tych zapasach cierpliwość anioła. Ciotka-rezydentka była bowiem dotąd jedyną panią zegadłowiczowskiego domu, głównym spiritus movens wszelakich poczyną „Emilka", który radził się jej w wielu sprawach, jej pierwszej o nich opowiadał. A teraz ów cel opiekuńczych zabiegów, chętny zawsze słuchacz o tym, co się działo w okolicy, w kuchniach i alkierzach wadowickich obywateli, w tej nowej rodzinnej sytuacji zaczął się od niej oddalać. Ciotka potroiła więc wysiłki wokół jego wygód, trybu życia. Czuwanie nad „Emilkiem", kontrolowanie poczyną jego żony oraz plotki i intrygi przeciw Marii zajmowały jej teraz większą część dnia. Emil poddawał się raczej chętnie tej rywalizacji dwóch kobiet, wplątywał się nawet czasami z własnej woli, dla zabawy, w sieć plotek — domniemań, którą Wanda Kaiszarową oplątywała jego małżonkę z bezustanną gotowością do preparowania następnej ich porcji.

Ta obsesyjna niechęć miała główne źródło w zazdrości o poetę: wychuchała go właściwie od dziecka, był bowiem niedorosłym chłopcem, za ledwie jedenastoletnim, gdy odumarł go ojciec. Matka zaś, ciężko chora kobieta, nie mogąc się nim zająć, powierzyła go trosce bratowej, ponawiając prośbę o opiekę jeszcze przed samą śmiercią. Gdy więc przyszło jej teraz po latach



dzielić się z obcą kobietą jego przywiązaniem, uśmiechami, czułością, włączać Marię do wspólnych rozmów, do troskliwych poczynań wokół osoby Emila, gdy zmuszona była patrzeć, jak bez niej oddalają się parkową ścieżką w stronę rzeki Skawy czy Mucharza z rozsypującymi się murami dawnej strażnicy zwanej Czartakiem, w takich momentach poczucie wymaginowanej krzywdy jątrzyło ją tak dalece, że wolałaby widzieć „Emilka” w miłosnych igraszkach z dziewięcioma naraz kochankami, jak w tej jego balladzie, gdzie to chlubił się, że:

Dziewięć dziewic mnie kocha i pieści

dziewięć dziewic na łące kwiecistej...

Byleby ona, Maria, nie miała go na wyłączną własność. Taka zaborcza, zachłanna, nieczuła i niedobra dla niego — myśli ciotka Kaiszarową. — I niedbała! Nie uważająca, aby Emilowi nie stało się coś złego. Gdyby Maria była dobrą żoną, nie tak wymagającą żoną, nie doszłoby do tego, że Emilek ma dziś, na całe już życie, skrzywiony palec wskazujący u prawej ręki. Nie wystarczyło jej bowiem, że dla zapewnienia rodzinie dobrych warunków materialnych i propagowania ludowej sztuki Beskidu Zachodniego urządził tu, na miejscu, w Gorzeniu, w dwóch zimnych izbach na parterze warsztaty kilimowe, to jeszcze musiał tam w przejmującej wilgoci ciężko pracować, nie tylko dźwigając zborgowaną mu wełnę, ale i farbując ją różnymi niebezpiecznymi barwnikami. I stąd to nieszczęście; przy tej katorżniczej pracy Emilek skaleczył się i zakaził palec barwiącą trucizną. Taki artysta i poeta! I taką to ma towarzyszkę życia! Ale czy ona to wszystko rozumie?... A na dodatek wskutek niestabilizowanej sytuacji ekonomicznej kraju i złej gospodarki w domu — ileż strat poniósł już on na tym kilimiarskim interesie! Wzięta na kredyt wełna w Bielsku wpłatała go w bezmiar zgryzot: raty, weksle, weksle, raty. I te wiejskie biedne dziewczyny zatrudnione przy warsztatach, czekające tygodniami na wypłatę. Aż dziw bierze, że przy tych wszystkich utrapieniach jest taki wesoły, śmieje się często, wprost garściami można brać od niego niewyczerpaną pogodę. Jak to on powiada?... „Złe myśli ostaw diabłom, a pełne pogody serce naprzeciw serca nieś”. Złoty chłopiec!

Z ziemią — przymierze

Gdy kilimiarstwo okazało się w końcu przysłowiowym mydłem Zabłockiego, w głowie poety zaczęły rodzić się projekty innych, złotych interesów. W tej businessowskiej euforii zrodził się pomysł hodowli królików.

Nieistotną przeszkodą wydawał się brak jakiegokolwiek obrotowego kapitału i ciągła dewaluacja pieniądza. Trzydziestokilkuletni już wówczas poeta zgromadził wokół siebie młodych artystów, pisarzy i, co graniczyło bez mała z cudem w tej chudokieszeniowej sytuacji wszystkich zainteresowanych, zaczęli oni wydawać własne pismo, biorąc nazwę „Czartak” od pobliskiej siedemnastowiecznej ruiny. Wrodzony wdzięk poety z Gorzenia, jego niefrasobliwy optymizm: „Wszystko będzie dobrze, zobaczycie!”, sprawił, że wadowicki drukarz Franciszek Foltin zgodził się bez długiej dyskusji na drukowanie pierwszego numeru „Czartaka” na kredyt... „Kilimem się to potem wyrówna” — obiecywał Zegadłowicz. Beskidzki typograf, piastujący niewczorajsze tradycje tego zawodu, bo jego rodowe nazwisko znane już było w Polsce przed z górą trzema wiekami, słysząc, że „Czartak” ekstraklasa stanie się poważnym wkładem do kultury, zapragnął być może przyczynić się do ambitnego przedsięwzięcia, a zarazem zdobyć nowy listek laurowy do chwały swego wydawnictwa. Spis wychodzących z jego oficyny różnych druków, rozmaitych „Zodyakusów”, żywotów „szlachetnej a pięknej Magelany”, Gryzeldy czy margrabiego Waltera, wzbogacił się i uszlachetnił niechybnie towarzystwem czartakowskich tomików — myślał pan Franciszek wbijany w dumę przez pana Emila.

U Foltina wyszło wiele utworów Zegadłowicza, zarówno nakładem własnym autora, jak i nakładem „Czartaka”. W „Powsinogach beskidzkich” dziełem poety była także i okładka, i ilustracje, i nawet końcowa winieta. Wśród bukolicznych ballad, melodyjnych „Dziewann”, regionalnych kołędziołek, „Kantyczki rosistej” czy „Wielkiej nowiny w Beskidzie” zabrzmiały i egzotyczne dźwięki; do towarzystwa rzewnych beskidzkich świątków, kapliczek przydrożnych w zapachach macierzanki, dwaj poeci — Emil Zegadłowicz i Edward Kozikowski, dorzucili ludożerców z plemienia Niam-Niam, sprowadzając ich wyobraźnię nie pozbawioną dowcipu z północno-środkowej Afryki i

opatrując tą nazwą: „Niam-Niam” tomik przekładów murzyńskiej poezji. Prezentując owo ludożercze plemię za pomocą jego samorodnej twórczości („o szczerym a dzikim technieniu prymitywu, o dziwnym uroku” — jak ocenił to jeden z profesorów), obaj „tłumacze” mogli mieć nie lada uciechę, śmiejąc się w kulak z uczonych analiz antologii ich „przekładów”; w rzeczywistości były one bowiem owocem ich przedniego mistyfikacyjnego żartu.

Cała ta beskidzka ziemia, zielona i wonna, „pachnąca miętą i ciszą”, jesienią „złota-miedziana-purpurowa”, jej ludzie, legendy, przypowieści, klechdy, „przychylność ducha dla wszystkiego i wszystkich” i „zespoleń się braterskie z biedotą bytowania ludzkiego” — to wszystko było bliskie poecie z Gorzenia. Nie lubił miasta. „Zbiorowiska miejskie — pisał w przedmowie do Rocznika «Czartaka» — z całą ich strukturą poniewierającą godność ludzką, uważamy za uciążliwy i bolesny zjazd z traktu głównego na wertepne i manowcowe bezdroża (...) Historiozofia polska, poezja polska, myśl polska idzie po linii ziemi”. A wieś to: „eksponowane i mądre obserwatorium biegu wicherów i gwiazd, dorocznego prawa zmienności, celebry orki i zasiewu, zaciętego współżywiolowego borykania się o chleb powszedni dla wszystkich”.

Trzymał się tej ziemi, rodzinnego domostwa, gdzie w pokoju na parterze on — powieściowcy Mikołaj Srebrempisany, przeżywał pierwsze dziecięce wtajemniczenia. Nie znosił osamotnień. Musiał czuć zawsze za plecami mocne przyjazne oparcie; wtedy dopiero mógł żyć, działać, nie być zagubiony. Łaknął pokrzepień, pragnął uznania, potwierdzenia. Potrzebował silnej obok siebie indywidualności, organizującej mu życie i jego samego. „Mam słaby charakter” — nieraz powtarzał. Miłości wszechobejmującej nadawał wielką wagę, widział w niej panaceum na wszystkie udręczenia świata. „Praca dla ludzi, misja braterstwa, miłość bliźniego z anielskiej poręki — oto co winno być zwiastunem nowych Dziejów”. W panteistycznych uniesieniach, w dźwiękach melodii o franciszkańskich akordach unoszących go pod beskidzkie błękity nie było miejsca na walkę, na bunty, na pokusy wojenki, która dla niego nie miała nic z tej fascynującej „Pani”, za którą idą malowani chłopcy.

— wojsko idzie na ćwiczenia

(bo sie ta i nic nie zmienia)

choć to przecie Polska jest

— militarizm — jak zło — wieczny...

— głosi w 1922 r. w jednej ze swych ballad.

„Rozkwitające sady, pszczołami lotne łąki, mowa serca, mądrość jedyna — kochać”, miłość — chlebem powszednim, duch jarzejący, ciało — szmata, która opada u celu wieczystej wędrówki, mistycyzm, panteizm, z ziemią rodzinną — przymierze...

Tu jest Ojczyzna moja! pachnąca jak mięta,

macierzanka i zboże —

— Ojczyzno ty święta!

(...)

to Bóg ziemię miłości słońcem opromienia

oto Bóg w ziemię, ziemia w Boga się przemienia

— taki obraz kreślił w elegijnych „Widmach wskazówek”, wydanych w Poznaniu w 1928 roku przez jego przyjaciela typografa Jana Kuglina, rodem z Bogumina. Bo od przeszło roku przeniósł się do nadwarciańskiego miasta.

Beskidzki świątek — na poznańskim bruku

Ale zanim to uczynił, zanim został tam, zrazu redaktorem „Tęczy”, kierownikiem literackim Teatru Polskiego, a potem dyrektorem programowym poznańskiego radia, przeżył triumfalny epizod w Krakowie.

Co było powodem, że na czas nieokreślony rozstał się z „Beskidem niezrównanym, z niebem, jakiego nigdzie nie ma, z rzeką niepodobną do innych rzek, z sercami dokoła dobrymi i poczciwymi”?... Wiązało się to z osobą, która otworzyła mu perspektywy nie tylko jako dramaturgowi, inaugurując swoją życzliwość daniem zielonego światła dla jego sztuki „Lampka oliwna”. W jej reżyserii rozbłysnęła ona sukcesem pewnego sobotniego wieczoru ostatniego dnia

maja 1924 roku w krakowskim Teatrze im. Słowackiego. Osobą tą była wielka artystka, sowiooka, czarnooka, o ciemnych włosach gładko zaczesanych do tyłu, upiętych w ogromny węzeł, majestatyczna, władcza, potężna — Stanisława Wysocka. Poezie pochlebilo uznanie starszej od niego kobiety, indywidualności prawdziwej. Jej zainteresowanie biegło nie tylko w kierunku twórczości, ale i w stronę osoby autora. On — podatny ma wszelkie ciepło płynące ku niemu — rozkwitł wdzięcznością i zachwytem nad przymiotami jej serca, ducha i ciała. Z rozrzutną serdecznością dzielił się teraz z przyjaciółmi swymi sukcesami na scenie, pragnął i im pomóc, poznawał ich z Wysocką, szczerze i wylewnie zapraszał do Gorzenia, aby radzić o dalszych czartakowskich sprawach i wspomagać się wzajemnie, „wnętrznie” („...bo łaknę i potrzebuję słów krzepiących. Sercem błagam Cię o serce” — jak pisał do głównego filara „Czartaka”, poety Edwarda Kozikowskiego), to znów z niefrasobliwością odpierał uwagi, przekornie ćwierkając: „dziś jestem ptaszkiem, który słuchał kazania świętego Franciszka (...) — i nic mnie nie obchodzi rrrrozum”.

W gorzeński, zdawałoby się, na zawsze ustalony dla Zegadłowicza rytm, w źródło jego radości, inspiracji, określonego posłannictwa myśli, w falistość Beskidu, w świat, gdzie można osiąść „mądrość, która jest wszechmiłością”, i radość z codziennej mordegi, z „wzwyżania się ze sfery cielesnej do duchowej”, weszła egzotyczna dla tego programu postać, wnosząc z sobą niepokój, rodząc nowe pragnienia, tęsknoty, których już tu nie sposób było zaspokoić.

On, nie umiejący pozostawać bez rodzinnego domu i nie mogący stanowić sam dla siebie siły, odważył się teraz odejść, choć nie całkowicie, od gorzeńskiego ogniska, aby spróbować sprzymierzyć się na innym gruncie z innym bractwem. Podporą w życiowej zmianie miała mu być silniejsza od niego, nie tak kapryśnie rozwichrzona i nastrojowo nieodpowiedzialna — zauroczona nim kobieta.

Prologiem poznańskiej życiowej przygody stał się przyjazd Wysockiej do gorzeńskiego dworu, gdzie przy akompaniamencie komentarzy ciotki Kaiszarowej, że Emilkowi jako artyście dla rozwoju ducha i talentu wszystko wolno, żona poety mogła tylko patrzeć, jak zatokowani w rozmowie — gość i gospodarz — oddalali się na długie godziny gościńcem w stronę Mucharza, nikieli w wysokich trawach okolicznych łąk. Wiele godzin spędzali też w pracowni artysty — pokoju zwanym „żółty”, o oknach zwróconych na zieleń ogrodu, o biedermeierach z rodzimej brzozy. Pani Maria, zwana przez męża Rysią, mogła wejść i być tam kilka minut, akurat tyle, ile potrzeba, aby zagadanej parze zaparzyć kawy na spirytusowej maszynie i podać ją w dwóch filiżankach z cienkiej porcelany — z wyprawowego jeszcze kompletu matki Emila.

A potem był Poznań!... Emil decydując się tam na dłuższy — z przerwami na Gorzeń — pobyt, podkreślał, że jedzie tam jedynie „na saksy”, aby ratować rodzinny dom i gospodarstwo od ostatecznej ruiny. Istotnie, zaczęło mu się tam nieźle powodzić. Do tej prosperity przyczyniła się niewątpliwie wielka aktorka, reżyserując jego sztuki i grając w nich główne role.

Na deskach poznańskiego teatru — teksty dramatów Zegadłowicza i kreacje Wysockiej, w poznańskich drukarniach na kremowych welinach, papierach ręcznie czerpanych — artystycznie wypieszczone, bogate graficzne twory poety (m.in. „Widma wskazówek” — elegie, pieśni zgrzebne, ballady ozdobione barwnymi drzeworytami, kwietnymi ornamentami inicjałów), w poznańskiej rozgłośni — intratny fotel dyrektora programowego. Mnożą się afisze, książki, zaszczyty. I przyjaźnie, a wśród nich — jedna długotrwała, nierdzewna, mocna — z typografem Janem z Bogumina, który wydał mu w swej „Bibliotece Studwudziestu” wiele utworów. Na tytułowych kartach autor składa dedykacje, najpierw oficjalne: „Drogiemu Janowi Kuglinowi...” A potem już tylko: „Janowi Kochanemu... Drogiemu Jasiowi... podzięka za wszelkie dobro, za serce żywe i przelewne...”

W pewien październikowy ranek 1929 roku powstaje list do przyjaciela w formie poetyckich zwrotek:

W Poznaniu, w godzinach wybitnego urzędowania

Do Jana Kuglina:

Gdyśmy się, Jasiu, tak spiknęli  
w graficznym, pięknym trudzie —

wzrosliśmy w sobie dobrą pracą —  
co nam tam świat i ludzie.  
Jak cegieł, aby dom budować,  
Jak nam tych ksiąg potrzeba —  
bo widzisz, z książek czynim schody  
wiodące w szczyt, do nieba.  
Jutro już hymnem stać się może,  
co dzisiaj wsiąka w głuszę —  
lecz — pieśń powiada, że i w czwartek  
trza rozradować duszę —  
Więc może jutro wedle pierwszej  
pięć minut po kwadransie,  
zejdźmy się, bracie, na Wrocławskiej,  
by rzec o ksiąg bilansie —  
Przed butlą miodu syconego,  
rocznik to jedenasty —  
pogwarzYM o tem i o owem —  
tak, jak czyniły Piasty — (...)  
Też nam się zaraz Beskid przyśni  
zawonią żyzne lasy —  
igliwo z liśćmi się posypie  
na pieskie nasze czasy.  
Wejdziemy, Jasiu, w bór przyćmiony  
— tak wonno i chłodziście —  
nad nami niebo błękitnieje —  
nad nami szumią liście —  
Nad nami gwiazdy i bezkresy  
a w nas się iści ziemia —  
i nagła cisza wieczysteje  
i usta nam oniemia —  
I wtedy wzrokiem już, spojrzeniem  
wszystko powiemy sobie —  
w tej najszcześniejszej i bezsłownej  
zbratania wielkiej dobie.  
Kończę już list ten, Jasiu, wnioskiem  
a wniosek zda się słuszny —  
ciąg dalszy gawęd niech usłyszY  
już Nyka i Posłuszny.

Ta rękopiśmienna kartka, skreślona w drukarni u Kuglina pod nieobecność gospodarza, już na drugi dzień przemienia się pod ręką artysty typografa w drukowany „List na młotkowanym papierze w formie książeczki; z tytułami, wakatami, okładką, w ilości trzynastu bibliofilskich niesprzedajnych egzemplarzy.

W sześć lat później ów wydawca w swojej następnej „Bibliotece Jana z Bogumina Kuglina” opracuje na życzenie poety miłosne apostrofy skierowane do naszej bohaterki — Marii de domo Wrzosek. Erotyki w liczbie sześćdziesięciu czterech, ozdobione rysunkami adresatki, stworzyły bibliofilski tomik pt. „Wrzosy”, wydany przez Kuglina jedynie w pięciu egzemplarzach. Ale nie wybiegajmy naprzód. Jest jeszcze rok 1929. Trzeci to już rok pracy, trzeci sezon, odkąd na teatralnych afiszach poznańskich ulic zaczęło pojawiać się nazwisko i tytuły utworów beskidzkiego poety: „Lampka oliwna”, „Łyżki i księżyc”, „Alcesta”, „Betsaba”, dramat „Wigilia”, widowisko jasełkowe „Gdy się Chrystus rodzi”. Czcionki, początkowo Drukarni Robotniczej przy ulicy Mielżyńskiego, pod ręką Kuglina coraz częściej układają się w zegadłowiczowskie strofy. Od 1927 roku „Świat kulis” ma w nim swego autora. A Rozgłośnia Polskiego Radia — dyrektora

programowego obdarzonego fantazją, której obce są cyfry, terminy, dyscyplina minutazy. Mija rok, odkąd objął redakcję tygodnika „Tęcza” w wydawnictwie św. Wojciecha, próbując jako naczelny zwerbować tam co bardziej utalentowane pióra kolegów. Objęciem tej posady wzbudził ich zdumienie: on, duch wolny, piszący swobodnie o tym, co mu w duszy gra, nałożył sobie pęta obowiązków, ciężar nacisków zwierzchniej władzy, poddał się rezygnacji z pewnych nieodpowiadających mu sformułowań, zdań, z pewnych zamówionych uprzednio artykułów?... To niepodobne do Emila!

Emilu! Świątku boży!

W Tęczowej chodzisz obroży

i dusza Twa cicho jęczy

— wykaligrafował tę zwrotkę rysownik Władysław Roguski obok wychudłej postaci poety obleczonej w czarny fraczek; szyję ciasno więzi mu wysoki biały kołnierzyk, głowę w aureoli przechylił modlitewnie, w prawej dłoni dźrzy stylizowaną gałązkę kwiecia, taką, jak malują na drewnianych skrzyniach w beskidzkich wsiach, na palcu wyciągniętej ręki świergoli mu ptaszek ludowy.

„Ten menager — Zegadłowicz” i jego muza

Poznań obsypał go więc hojnie posadami, stanowiskami, zaszczytami, dając mu poważny kredyt zaufania i sympatii jako artyście, jako człowiekowi i pracownikowi. Ale Poznań równocześnie nie był miejscem, gdzie z wyrozumieniem przyjmowano by okraszane czarującym uśmiechem tłumaczenia o wyższych siłach, nie pozwalających wykonywać na czas podjętych zobowiązań. Poznańscy mecenas i chlebobawcy nie dawali się zniewolić wdziękiem poety i twardo stawiali sprawę: najpierw praca, dobrze wykonana, a potem fantazje i przyjemności.

W poznańskim okresie w myśl zasady: „Jakoś to będzie”, która sprawdzała się na innych gruntach, podjął się Zegadłowicz tyłu obowiązków, tyłu prac równocześnie, iż nie sposób było nawet przy wielkiej pracowitości (którą notabene się odznaczał), wielkiej systematyczności i solidności (z tym było gorzej) oraz umiejętności organizowania sobie pracy (czego raczej nie potrafił) — podołać temu wszystkim.

I nawet dziwić się nie trzeba i uwierzyć nawet można, że szczerze było odczucie, jakiemu uległ już w pierwszym dniu swego pobytu w nadwarciańskim grodzie, pisząc w pamiętnikarskim notatniku: „W dniu 1 września, tj. w dniu przyjazdu do Poznania, zgłosiłem zamiar... wyjazdu. W pierwszym dniu wiedziałem już wszystko lub prawie wszystko. Zaciałem zęby; długi mnie gniotły”

Jakżeż obcy, drażniący i nieprzyswajalny musiał być dla jego psychicznej konstrukcji grunt tego miasta. Ów brak fantazji, a przy tym i wyraźna niechęć do wszelkiego fantazjotwórstwa, solidność w realizowaniu zamiarów mierzonych na siły, ambicje bardziej naukowe i awangardowo twórcze, nieufność do nowatorskich manifestacji — ideologicznych czy artystycznych, szacunek dla ugruntowanych autorytetów, choćby nie szły nawet one w czołowiec postępu.

Poznań szanuje swoje słowo, tradycję, obyczaj utrwalony pokoleniami. Rozwiczony artysta nie sprawdzający się w rytuale codziennej konkretnej pracy, choćby ociekał słodyczą i szcudrobliwie rozdzielał miody serca, nie będzie tu budził zaufania. W tym mieście mniej ceni się mody literackie w poezji czy w prozie, a bardziej walory dydaktyczne, słabiej kocha się cyganerię, mocniej — wychowawców narodu.

Konieczność ciągłego korygowania siebie, wbrew sobie, rodziło coraz silniejsze rozdrażnienie, wewnętrzny protest, nieukierunkowaną agresję nawet. Zrazu na zasadzie przysłowiowych kwaśnych winogron znosił, milcząc, te uciążliwości, ale przy jego nadmiernej wrażliwości, nie mogąc sprostać specyficznym wymaganiom, obowiązkom, dusząc się, jak powiadał, w atmosferze świętowojechiechowego wydawnictwa, podjął decyzję odejścia „z domu niewoli”. Ku jego wielkiej uldze i satysfakcji pochwaliła ten krok protektorka. Stanisława Wysocka. „Będę prawdziwie wolnym poetą, nie zależnym człowiekiem, gdy pożegnam tę jednodocieniową «Tęczę»” — oświadczył z przekonaniem i już w początkach 1929 roku zgłosił swą ostateczną rezygnację. Przyjęto ją w milczeniu, które w tym wypadku miało wymowę chętniej akceptacji.

Z kolei „obrożę tęczową” zamienił na luźniejszy łańcuch, wiążący go z radiową rozgłośnią. Ale i tam nie mógł za bardzo urywać się z nie interesujących go, administracyjnych pętli, z systematycznej kontroli programów, z terminowego układania poszczególnych ich punktów. Predyspozycje artystycznej, rozwichrzonej natury kłóciły się z odpowiedzialnością i powagą tego stanowiska.

Trafną, inteligentną charakterystykę ówczesnego kierownika literackiego Teatru Polskiego dała autorka wybitnych dramatów — Stanisława Przybyszewska.

W tym okresie traciła dużo energii na dobijanie się listami, telegramami do drzwi ludzi decydujących o losach jej utworów. Jednym z tych wyrokujących był właśnie Zegadłowicz. W listach Stanisławy z końca 1928 roku znajdujemy pełno o nim wzmianek, ujawniających zniecierpliwienie, złość, bezradność. Ciągłe jego obietniczki: w sprawie nadesłanego skryptu otrzyma Pani odpowiedź za tydzień, za miesiąc, a może za kwartał. Na nieśmiałe listowne przypomnienie — nie było już nawet odpowiedzi, na telegramowy pocisk zareagował depeszą: „Odpowiedź wyślę rychło...” Co to znaczy: rychło? I znów nowe obietnice, nowe terminy... Po iluś tam ponawianych próbach petentka w liście do swej przyrodniej siostry Iwi zanalizuje „opiniodecyzyjodawcę”: „Tego menagera — Zegadłowicza przejrzałam zupełnie. Nie jest on oczywiście ani nikczemny, ani podły (...). Jest to natura czysto poetycka. I to mówi wszystko: w najwyższym stopniu wrażliwy, egoistyczny w tym absolutnym sensie, w jaki tylko ludzie produktywni (twórczy); stąd obdarzeni bezwartościową, pasywną dobrocią ludzi wrażliwych. Nie znosi widoku cierpienia; widzi je dużo ostrzej, odczuwa o wiele głębiej niż natury gruboskórne; ale tylko wtedy kiwnie palcem, by pomóc cierpiącemu, gdy krzyk tego ostatniego jemu uczyni osobiście życie nieznośnym. (...) Poza tym jest on jako artysta absolutnie nieprzydatny do wszelkiej pracy administracyjnej, do jakiegokolwiek rodzaju odpowiedzialności: natychmiast przerastają go o głowę jego obowiązki.

Zbliżała się wiosna 1930 roku i w poznańskim teatrze rozpoczęły się przygotowania do wystawienia „Świata nudów” Paillerona. Świat nudów — tak jawił się Zegadłowiczowi i sam Poznań. Nudni ludzie, nudne zajęcia, nudna praca, nie ma tu zainteresowania literaturą, artystami. Jest to właściwie, z krótkimi momentami przebudzeń — kulturalny letarg.

Ale ten komediowy „Świat nudów” ożywił go niespodziewanie. Oto w roli księżnej de Reville miała ukazać się jubileuszowo na scenie Jego Muza, Mecenaska i Kobieta — Stanisława Wysocka, przyznając się w dniu premiery, w ów piątek 16 maja, do trzydziestopięciolecia pracy w teatrze. Obwieszczały o tym rozlepione na mieście afisze, powtarzające trzykrotnie różnymi rozmiarami czonek, nazwisko jubilatki w tym raz w towarzystwie Emila jako kierownika literackiego.

W winiarni Nyki i Posłusznego spotkał się przed tym świętem Zegadłowicz z przyjacielem Janem Kuglinem przynosząc mu swój poemat „Pallas Atenę” z żarliwą prośbą, aby wydrukował mu te strofy (opatrząc podtytułem: „Stanisławie Wysockiej szesnastego maja tysiąc dziewięćset trzydziestego roku”) w przedni dzień uroczystej premiery. Stało się według życzenia poety. Z trzynastu numerowanych egzemplarzy złożonych na papierze zwanym kuty — pierwszy został ofiarowany dostojnej adresatce już 8 maja — w dzień imienin.

Dostojne były też same strofy. Chwalby, apostrof strzeliste, panegiryczne peany tworzyły jak gdyby przegląd, w metafizycznych otoczkach, scenicznych ról artystki. Znalazła się tam więc w pełnym rynsztunku Atena sowiooka, rozkwitły „białe kwiaty” rąk Elektry, rozżarzyły się roje iskier we włosach Judyty, rozpląkało się żałosne wołanie Medei, ruszyły w pochodzie przy wtórze „wyzłoconych arf, furkotu licznych szarf” Bony, Jokasty, Balladyny...

Poemat był długi, a kończył się wezwaniem:

błysk nagły! grom uderzył  
w grot ostry złotej włóczni —  
— otwórzcie drzwi i okna  
na przyjście nowej jutrzni!!

A nowa jutrzni raczej już odchodziła, w tym to bowiem roku jubileuszu zęgnęła wielkopolską stolicę i rola księżnej była ostatnim fajerwerkiem blasków na poznańskiej scenie. „Pallas Atenę”,

choć pisana w dobrej dziękczynnej intencji, mogła wywołać, jeśli byłaby dostępna liczniejszemu czytelnikom, uwagi podobne opinii Stefana Kołaczkowskiego o niektórych utworach Zegadłowicza, zarzuty w rodzaju: „Mglistość umysłu, gadatliwość, blaga poetycka”. Zbytnią surowość profesora Kołaczkowskiego nawet i w szczerze wspomnieniowej książce-kluczu, w „Żywocie Mikołaja Srebrmpisanego”, dostrzegła jedynie „wytwór rozpanoszonego i bezkarnego grafomaństwa” podyktowanego modą na życiorysy, „kombinację nieporozumień i nieszczerości artystycznej”. Ta ocena zabolęła mocno poetę, chodziła mu nawet po głowie myśl zaskarżenia do sądu autora ostrych sformułowań. Ale wkrótce do różańca kłopotów, urazów i obraz doszły ziarenka większe, cięższe, nasycone mocniejszym roztworem piólu.

Dole i niedole „Galicjuszy z Kongresowy”

Tak, ten 1930 rok i następny nie będzie go niósł na fali pomyślnych wiatrów. „Ta duszna stęchlizna, mroki zacofania”, na które coraz częściej i coraz ochotniej narzeka, będą wymagać błyskawicy i burzy, i to już bez zbytej zwłoki. Więc po cóż jeszcze te ciągle dywagacje, wewnętrzne polemiki. Czasami ludził się. A może kiedyś wytworzy się tu wreszcie klimat sprzyjający artystom, poetom, ludziom niosącym nowe idee, otwierającym wierze je bram dla ożywczych prądów, budzących z ciepłką zaprzałości, zastałości?...

— Próżne nadzieje! — protestował w nim drugi głos. — Na wszystkie, co śmielsze próby, awangardy, radykalizmy, rewolucjonizmy stateczny, zasobny Poznań reagował już nieraz żartobliwym gwarowym powiedzonkiem-dowcipem: „My, som my, my mogliemy, bo nasz tata brukuje”. I pewny swych racji i dostatków obywatel odwracał się plecami do przybyszów czy miejscowych awangardzistów niosących w sercach żar nowych idei, a w kieszeniach — pustki. Zgroza! Przecież profesor Władysław Tatarkiewicz, który przyjechał tu z Wilna, napisał później o tym mieście: „Poznań był przeciwieństwem Wilna: o tyle mniej poezji, o ile więcej dobrobytu”. „Odwrotnie niż w Gorzeniu” — myślał z goryczą dawny jego mieszkaniec.

Gorzeń; powietrze wonne, świeczniki kasztanów nad bramą, w pokoju piec kamyczkowy na glinie lepiony, „trochę podobny do szafy, a trochę do kapliczki przydrożnej”, okna w kolorze zieleni — na ogród i na sad... Czy wróci tam nie zmieniony, taki sam, jaki był, gdy wyruszył ze wsi do nadwarciańskiego miasta? Nie umie na razie dać sam sobie odpowiedzi na to pytanie. Czy będzie tak jak dawniej tworzył wierszowane strofy o koślawcach, powsinogach, o dobrotliwych chłopach?... Ni to chłopach, ni nie chłopach, takie to bowiem wszystko przeświecone słodyczą, takie uświęcone „bezpośrednią, choć nie uświadomioną komunią z przyrodą”, takie szczęśliwe są bez miary, choć upośledzone życiowo te wędrowniki-rzemieślnicy. Mity, mity udiwnione, nieprawdziwe, wyidealizowane, choć spotykają się w nich i gwarzą ludzie powszedni, spotykani na co dzień.

Niespełna cztery lata przeminęło od dnia wyjazdu Zegadłowicza z Beskidów, a tyle nabierało się w nim refleksji, obrachunków z dawnym sobą, z obecnym sobą. I tyle wewnętrznego zamętu i niezadowoleń! Niedobrze już będzie się mieszkać w dawnych opłotkach, chodzić wysłonecznionymi koleinami ze swoimi koślawcami-pocziwcami. Nowe tematy, nowe cele — może ataku? — nowi bohaterowie winni znaleźć w nim swego piewę.; „piewę” — nie, to słowo też już nawet śmieszny, jeśli ma się zamiar szukać także nowych środków ekspresji...

Nie umiał i nie lubił być sam, pozbawiony oparcia w bliskiej zamięłowaniu, dążeniem grupie ludzi; mogła to być nawet jedna silna indywidualność. Gdy mu tego brakowało, gasł, cichł, trudno przychodziło mu wtedy się odnaleźć, mnożyć myśli, pracować, skrzyć się od wewnątrz...

Takim właśnie zastał go przełom 1930—31 roku. Myślał często o towarzyszach z „Czartaka”, ale serdeczność rozdzielana w listach do dawnych przyjaciół nie oznaczała teraz ręki wyciągniętej do dalszych wspólnych artystycznych poczyną. Odszedł już bowiem trochę z prostego traktu, którym szli razem w czartakowskiej procesji z wypisanymi na chorągiewkach hasłami: Kontakt duchowy z wszechświatem! Wszechmiłość! Jaśniała aureola nad głowami towarzyszących im prostaczków, w słoneczku łaskawym jawiły się ponadczasowe obrazki... Sprzyjała cała natura.

Było błogo... Ale dziś, z perspektywy czasu, poszerzonej doświadczeniami, wydaje się to wszystko

wypreparowane, wyluskane z miąższu współczesnej rzeczywistości, społecznych uwarunkowań, oderwane od ziemi, choć tak niby bardzo związane z ziemią, na której żyjemy. Nadal idea miłości, pochylenie się nad człowiekiem, ale i bunt. Nadal to: Bracia! Nadal myśl o „zharmonizowaniu i ustosunkowaniu przeciwieństw i rozbieżności”, ale i smak gniewu zdolnego niszczyć „bóstwa dotychczasowe do cna zakłamate”, atakować obłudę, pychę i zacofanie, przetrzebiać puszcze przesądów. Nadal umiłowanie „biedoty bytowania człowieczego” i „wiara w odrodzenie ludzkości przez miłość”, ale i niezgoda na tworzenie poetyckiego mitu o szczęśliwym, bo zgodnym z naturą życiu pracowitych, przeanielenych ludzi, Przebiecie seraficznej atmosfery ładunkami własnych rozczarowań, doświadczeń, które nie mogły mieć miejsca przedtem na wyidealizowanym” skrawku beskidzkiej ziemi, pozwoliło mu na swobodniejszą i większą skalę porównań, odczuć. Może na początku iskrą zapalną były własne urazy do poznańskiego świata, ale materiał pobudzający do pewnego rodzaju odwetów miał sam przez się swe zapalne punkty, które poeta nazwał: „obłudą, pychą zacofania; kramarstwem, niechrześcijańską złą krzykliwą zapienioną podstępna małością, czyhającą za każdym węglem”. Czuł się na razie jak samotny żeglarz pośrodku wielkiej wody na niesprawnej łajbie; oddalił się od jednego brzegu, zostawił tam raz na zawsze zakrzepłe struktury, układy, którym nie chciał już podlegać, pożegnał nierozumiejące, zdziwione miny tubylców, niechętnie mu oblicza. Dążył ku drugiej stronie, skąd dochodziły go życzliwe głosy, a ręce przyjaźnie wyciągnięte świadczyły o gotowości przyjęcia nowicjusza do nowego bractwa. W aktualnym stanie ducha jakże łaknął, on, nie znoszący niewygod samotnictwa, sprzymierzeńców podobnie przesadzonych tu, na wielkopolską ziemię, z innych zagonów kraju. Tymi ludźmi byli wówczas m.in. Jan Sztudynger, Stanisław Witold Balicki. Dotychczasowy piewca ludzi ubogich, lecz żyjących w błogiej symbiozie z naturą, niosący pokój sercom i hasło wszechmiłości, pracę pod innym sztandarem, jak każdy neofita, rozpoczął od gniewnych ataków na to, w czym dawniej tkwił. Zapasy z samym sobą, wewnętrzne rozrachunki, rozterki. Odraza do wszelakich przymusów, którym jeszcze całkiem niedawno poddawał się, narastała coraz silniejszym rozdrażnieniem; tła się już od pewnego czasu, wybuchnęła teraz eksplozją, skandalizującym manifestem: „Listem pasterskim” zamieszczonym w pierwszym numerze z grudnia 1931 roku lewicującego „Dwutygodnika Literackiego”. Słowa pełne pasji kierował do „drogich braci w poezji”. W nowej grupie sprzymierzeńców uchodził za człowieka zapalnego, uczulonego na niesprawiedliwości, krzywdy. Jego wrażliwość, niezgoda na nierówności wypączkowała na nowym gruncie nie tylko ku górze, ku słońcu, ku „rozmodrzonym po wieczność przestworzom”, lecz objęła sprawy tej ziemi nie w harmonijnej tylko ich symbiozie, ale w poszerzającym kąt widzenia rozumieniu, że pewne rachunki krzywd należy rozliczać już na tym ziemskim padole. Próbował zawrzeć to w owym głośnym, publicystycznym „liście”, podpisanym kpiarsko i wyzywająco żartobliwie: „Emilencja” i świadczącym o odwróceniu z dawnych okopów. W tych dość ogólnikowych, falangowo postępowych, dyktowanych świętym gniewem sprawiedliwego człowieka — sądach, twierdzeniach, apelach, znalazł się wreszcie jeden konkretny obraz, jeden akcent, nie znany dotąd w twórczości poety: chore niedokarmione dzieci spragnione słońca, zapachu igliwia i powietrza. Każdy człowiek wyłamujący się ze starych konwencji — twórczych, obyczajowych, ideowych czy towarzyskich i znajdujący nowe podniety w innym zgoła otoczeniu — budzi protest u wszystkich, którzy przyzwyczaili się oglądać go jako produkt ich życiowych formuł. Poznańska opinia publiczna okazała więc „Emilencji” wrogość. Niechęć żywili teraz do niego wszyscy; nie tylko ci, którym bezpośrednio rzucił rękawicę albo którym wydawało się, że atak skierowany jest w ich stronę; w stronę ociążałości kulturalnej, obyczajowej, W stronę tej przysłowiowej Beocji z jej psychiczną i twórczą indolencją.. Głośno mówiono o „Galicjuszu z Kongresowy”, który czarną niewdzięcznością odpłacił za suty chleb, smarowany miodem. Poeta parafrazujący nieraz na poznańskim gruncie słowa Goethego: „Więcej powietrza!” i wyznający, że po napisaniu „Listu” odetchnął wreszcie, wyzwolony, prawdziwie głęboko, pełną piersią, znalazł się nagle w opałach. Dosłownie więcej powietrza napłynęło w gwałtownym podmuchu do jego pokoju na Chwaliszewie, gdy pewnego wieczoru wybito mu szyby i szkło drobną migotliwą sieczką odprysków pokryło stolik z przygotowywanym dla „Dwutygodnika” następnym artykułem w ostrym przebojowym tonie.



W latach europejskiego chaosu, narastania faszystowskich sił, rozbieżności politycznych w samym kraju, niebezpieczną zabawą, niekorzystnym dla narodowej jedności zjawiskiem było wówczas podkreślenie dzielnicowych rozbieżności, regionalnych szowinizmów, za którymi z kolei stały przeciwstawne sobie grupy o skrajnie różnych ideowo obliczach. Stąd i te wzajemnie przerzucane z wrogich sobie okopów inwektywy, obelgi. Jedni gromili „powsinogów zalatujących na milę najobskurniejszą Galicją”, spęd „krakauerów” na lukratywne posadki, naloty na żyzne plony Wielkopolski tych spod „Austryjaka” i tych „spod Moskala”. Przeciwnicy z kolei, owe obrażane „Galicjoki z Kongresowy”, rzucali pociskami zarzutów „o dusznej stęchliźnie atmosfery”, o „krainie obłudnej biurokracji wyznaniowej”, gdzie poezję „dobrą poezję, wielką poezję”, będącą „eksplozją, odkryciem, walką i zdobyczą, nowym światem, nowym człowiekiem”, zastępuje się „wierszoróbną tematuowością”, gdzie panuje fałsz i nagonki hańbiące i gdzie „Chrystus po raz tysięczny w serce rażony” odszedł z tego miejsca, z „tej krainy ciemnoty i głuchoty”.

Z „wygnania”

Wśród ferworu polemicznych potyczek, buńczucznych marzeń, prężnych zabiegów o pozyskanie takich nazwisk jak m.in. Leśmiana, Wierzyńskiego, Jana Wiktora, Tuwima, Bąka, Czuchnowskiego, Fiedlera, Światopelka Karpińskiego i Kruczkowskiego, zapomniano o sprawie tak „drobnej” jak... fundusze.

Opróżniła się do szczętu prywatna kasa Balickiego, a urzędowa — z państwowych subwencji nie była skora do finansowania „Dwutygodnika Literackiego”. Mnożyły się w prasie głosy w rodzaju: Złe jest, że nuta krakowska w Poznaniu przewodniczy (...) Wielkopolanom do tego dopuścić nie wolno.

I to nie z jakichś tani głupawych względów dzielnicowych, ale przez wzgląd na bogactwo ogólnopolskiej kultury”. Z odcieniem szowinizmu grzmiał jak poznanin rodowity (aczkolwiek z Krakowa) Adolf Nowaczyński, wypominając „Krakowczykom”, że w Poznaniu: „przyjęli was, nakarmili, odzieli...” A profesor Tadeusz Grabowski, choć starał się łagodzić ostrość ataków, to jednak trudno mu było ukryć żal, że „Zegadłowicz duszy Poznania nie wyczuł”.

Tuk więc gdy po około trzech miesiącach istnienia zakończył swój żywot „Dwutygodnik”, gdy jedna z psychicznych ości, o postaci i profilu klasycznej heroiny - Stanisława Wysocka, opuściła poznański teren, gdy rozsypała się literacka sojusznicza grupa, w poecie dojrzała decyzja ostatecznego powrotu do korzeni. „Dość pięć lat niewoli!” Gdy zdecydował się na tę „błogosławioną zmianę”, miał już lat czterdzieści cztery i wiele wydanych tomików, nie tylko troskliwie wychuchanych przez Kuglina w Poznaniu, ale i w Warszawie nakładem m.in. Hoesicka. Dwa tomy dramatów wypuściła też w świat oficyna drukarska Józefa Kawalera Z Szamotuła, a „Podkowy na progu” — poemat, odbili Tyszkiewiczowie we Florencji (via Giordani 7), manu propria, na własnym szmacianym papierze, ozdabiając je siedmioma drzeworytami pani Maryli Tyszkiewiczowej.

Wiersze, ballady, poematy, elegie, wybory poezji, dramaty — dorobek już niemały. Twórca stawał się coraz głośniejszy, popularniejszy. W jednym z październikowych numerów z 1932 roku „Wiadomości Literackich” w dużym wywiadzie Zegadłowicz zakończył bilans poznańskich czasów w „Tęczy”, rozprawił się z „duchem administratywnym, pedanterią dogmatyczną” i stwierdził przy końcu: „Jestem poetą, nie twórcą systemu religijnego. Nie ma religiodawców, są tylko dobrzy, społeczni poeci”.

Gorzeń Górny. Powrót. Jest już późna wiosna 1932 roku. Seledynowa smukłość drzew za oknami, „żółty” gabinet, misterne intarsje szufladek sekretrety zarzuconej papierami, listy w drewnianej przegródce dopominają się odpowiedzi — ciotka Kaiszarowa ułożyła je według dat przyjsia, w wazonie — egzotyczny kształt ułożonej przez żonę gałązki ściętej z drzewa sadzonego jeszcze przez ojca poety, skwierczą cztery świece, stearyna spływa strużkami do lichtarzy starego świecznika... Zieleń, ptaki na błękicie... „Po tych latach gorzkiego wygnania — przyroda przemówiła do mnie z potrójną siłą!” — to zdanie z listu o dacie 9 sierpnia do Edwarda Kozikowskiego. „Trzeba temu dać wyraz”. Powstają więc nowe utwory. „Circe”, zainspirowana calderonowską „Księżniczką Turandot”, zostaje zakontraktowana na pniu przez Łucki (od: Łuck)

Teatr im. Słowackiego. Ale dyrekcja nie śpieszy się z tantiemami. A tu — pusta kiesa u poety, wypróżniona kasa w gorzeńskim dworze. Z odczytów, których nie lubi i które męczą go niesłychanie, skapuje mały grosz. I jak w takiej sytuacji zacząć w pobliżu, w otoczeniu modrzewi, budowę domku z oszkloną werandą dla ciotki Kaiszarowej, aby oddalić jej niechęć do Marii i wyciszyć właśnie dwóch kobiet? A na domiar — te jakieś bóle, krwotoki wewnętrzne o nierozpoznanej przyczynie.

Przejściowe to strapienia, „głowa do góry, pierś naprzód” — pociesza się, z wrodzonym sobie optymizmem, zwielokrotnionym przez znalezienie się znów na beskidzkim, przyjaznym mu gruncie. „Gdy dojdę ze wszystkim do siebie, to zacznę dopiero pisać! — powtarza sobie nieraz. — Czartakowskie idee, programowe założeniu grupy sprzed przeszło dziesięciu lat, te wszystkie fetyszyzmy, mało mające wspólnego z prawdziwym życiem i jego przejawami — przebrzmiały to już wszystko, przestarzałe, wymagające rewizji”.

Ale zanim zasiądzie na dłużej za biurkiem i sięgnie po inny kolor atramentu, musi uporać się z doraźnymi dokuczliwymi zaległościami, nadrobić zaniedbania. „Raduję się myślą spotkania! (...) Materialnie nad wyraz mi ciężko. (...) Stęskniłem się za Tobą. (...) W wielkich jestem tarapatkach — grosza nie ma w domu. (...) Napisz! Pisz!” — wysyła sygnały do dawnych druhów spod znaku „Czartaka”. Nawiązuje zerwane nici z tłumaczami, krytykami, z życzliwym mu „polskim Erazmem” — Otto Forst-Battaglią, pisząc do niego z Gorzenia:

Drogi Panie!

(...) Lata poznańskie tak mi się jakoś opacznie ułożyły, że nasz tak miłe i serdecznie zarysowany stosunek uległ jakoby przerwie. Ale to chwilowe! Dzisiaj (...) odetchnąłem już i zrzuciłem wszystkie zmory z siebie. Jestem w Gorzeniu, a to znaczy: praca. Z tej pozycji ślę Panu — jak to dawniej — serdeczny, mocny, przyjacielski uścisk dłoni. Wszakże nie zapomniałem i nie zapomnę Panu nigdy krzepiących słów, któremi Pan mnie tak szczerze darzył.

Równocześnie z tym listem ślę nowe książeczki moje; proszę je przyjąć tem samym sercem, z jakim je wysyłam.

Łączę wyrazy wysokiego poważania i serdeczny uścisk dłoni

Emil Zegadłowicz"

Listem tym przeproszał za swą korespondencyjną nieszczodrobliwą w poznańskich czasach, gdy — jak sam przyznawał — za „nieprzebraną miarę słów krzepiących i dobra wszelakiego, przyjaznej myśli i wielkiego serca” Forst-Battaglii, odpłacał mu dość skąpymi na ogół informacjami; takim na przykład lakonicznym listem (z 10.XI.1927 r.): „Od 1 września mieszkam w Poznaniu — przyzwyczajam się (na nowo) — a to już po latach pracy i samotności dziś niełatwo! — z trudem, choć stosunki, publiczność, współpraca — jak najlepsze! — Poza tem chorowałem dość ciężko — co do reszty deprawowało myśl — odbierało jej jasność, a czuciu czystość. (...) Łączę wyrazy wysokiego poważania, serdeczny uścisk dłoni”.

Teraz należy wzmocnić nadwątlone nici i na wymianę myśli znaleźć czas. Ostatnio nagromadziło się wiele listów, a i na bieżąco listonosz przywozi na swym rowerku potężny ich pakiet. Jest to korespondencja od ludzi znanych i nieznanymi, osób urzędowych i prywatnych. Niektóre przesyłki nie przynoszą pomyślnych wiadomości, ot, na przykład dziś rano na wierzchu papierowego stosiku żona położyła wyczekiwane od tygodni pisemko Teatru z Łucka. Niestety nie mogą na czas wywiązać się z pieniężnego długu: 514 zł i 26 groszy (W kasie — pustki, mała frekwencja, aktorzy nie otrzymują już swych gaż od miesięcy — tłumaczy dyrekcja). A tu tyle pieniężnych zobowiązań, tyle wali się codziennie na biurko, na głowę monitów, upomnień... Cała masa druczków; uciążliwa treść, nieciekawym format. Na szczęście można wyłowić z tego szarego topieliska i różnobarwne pastele podłużnych wytwornych kopert.

Jedna z nich zwraca szczególną uwagę: jest w kolorze bladego wrzosu. Nie ma nazwiska nadawcy, ale domyślić się można, że wysyłała list kobieta. Papier przynosi delikatną woń fiołków, a lewą stronę koperty, od góry do dołu, zdobi misterny ornament liliowych kwiatków. Młoda, dziewczęca zapewne dłoń zaadresowała: „W. Pan Emil Zegadłowicz. Poeta, Gorzeń Górny”, upiększając przy tym wodnymi farbami prostokąt papeterii z czarnym stemplem pocztowym miejsce nadania: Kraków. Delikatnie, drewnianym nożykiem, wyrzeźbionym i ofiarowanym mu przez Jędrzeja

Wowrę, adresat przeciął kopertę. Znalazł w niej gęsto zapisane cztery strony; mówiły o nim żarliwie jako o twórcy, który od lat trafia do jej serca, wyobraźni, którego wielbi za miłość Piękną i Dobrą, za jego fascynujące wędrówki jako Mikołaja Srebrmpisanego po zakamarkach przeszłości rodzicielskiego domu, za ciepły koloryt nasycający świat jego dzieciństwa...

U dołu ostatniej strony poeta znalazł imię Maria i nazwisko: Stachelska. Zapragnął nagle, bez zwłoki odpisać nie znanej wielbicielce i poprosić o możliwość bezpośredniej rozmowy, spotkania w Krakowie albo gdzieś blisko Gorzenia, może w Wadowicach.

Gdy to wkrótce nastąpi, po kilkakrotnej jeszcze wymianie listów, nic już nie będzie zdolne zahamować wybuchu wzajemnej fascynacji, namiętności, poddania się bez reszty uczuciu, które barwne i lotne, unosiło ich ponad wszelkie zwyczajowe konwenanse przez lat kilka, owocując stustronicowym tomikiem miłosnych wierszy pt. „Wrzosa”, który przyjaciel-typograf opatrzył numerem 6 w swej nowej „Bibliotece Jana z Bogumina Kuglina”. Był to już rok 1935. Ale cofnijmy się jeszcze o dwa lata, do dnia pierwszego spotkania Emila i Maryli.

### Spotkanie w dzień lipcowy

W tym to czasie poeta miał już za sobą nieokreśloną bliżej chorobę (krwawienia, bóle), ciężar kilkutygodniowego pobytu w krakowskim szpitalu w początku 1933 r., a potem uskrzydający go, tegoż roku, czerwcowy dzień Jubileuszu 25-lecia pracy twórczej. Wśród wielu atrakcyjnych punktów programu uroczystości znalazło się i przemianowanie (decyzją wadowickiej miejskiej rady) ulicy Tatrzańskiej, biegnącej od Wadowic aż do Gorzenia, na: Emila Zegadłowicza.

W miesiąc po jubileuszowej wrzawie z udziałem krakowskiego wojewody poeta ujrzał po raz pierwszy swą i korespondentkę. Stało się to ponoć w „Bajce”, sąsiadującej z domem Zegadłowiczów mieszkalnej siedzibie pani Leokadii Essmanowskiej (matki Stefana, krytyka, poety i tłumacza). Niedawny jubilat z miejsca oczarował, zafascynował gościa wymową, niekłamany zachwytem w oczach, zaskakującym formułowaniem niebanalnych myśli, żarem słów przesyconych poezją, nieśmiałym jakby uśmiechem, którym umiał posługiwać się z naturalnością i wdziękiem. Zawojował także niespełna dziesięcioletnią, najstarszą z jej dzieci — Anię, z którą pojawiła się w Gorzeniu. W sztambuchu córki pani Maryli (właśnie tej Ani) zachował się do dziś nie tylko wpis dziadków („Najukochańszej, najpierwszej wnuczce życzymy przyjaźni ludzi. Bądź mężną i dzielną, twórz dobro i piękno.”), ale i słowa matki — echo tamtego spotkania. Na kartce w kolorze seledynu Maria wymalowała gałązkę z ciasno splecionym węzłem róż; widać poeta oprowadzając je po Gorzeniu z wrodzonym fantazjotwórstwem zmitologizował pochodzenie litrów domostwa, gdyż Maria opatrzyła rysunek informacją: „Gałązka różyczek pnących się po murze Twierdzy Ariańskiej”. A potem może recytował jej swe wiersze, kilka zegadłowiczowskich strof widnieje bowiem na sztambucha, a pod nimi dedykacja: „Córeczko ukochanej daję ten wiersz Wielkiego Poety, którego miałyśmy szczęście poznać obie. Czytaj, Anulko, często ten cudny wierszyk, w serduszkach swym wyryj jego słowa. Pomoże Ci się on stawać obrazem lepszą, coraz miłszą Bogu i ludziom. Prosi Cię o to — mamusia”. I jeszcze data: „Gorzeń Górny, 14.VII.33 r.” Ten dzień lipcowy, słoneczny stał się przełomem w życiu Marii. Tłem drugiego ich spotkania i wielu następnych będzie już Kraków.

Gdy poznaje się treść niektórych listów Zegadłowicza po jego odejściu z „twardych tafli chodników” Poznania na gorzeńskie „podłoże traw”, nie sposób nie dostrzec, że ten wyęskniony powrót, postawienie stopy na beskidzkiej ziemi, nie było dotknięciem czarodziejskiej różdżki przemieniającym poetę w człowieka o pełnej pogody równowadze. Niejasne, nie sprecyzowane zamysły (...,może nam się uda kiedyś odkryć, jak karty, nowe jakieś cuda”) nie przemieniły się w konkretny program działania, a chęć wysupłania się z poskręcanych węzłów sprzeczności — w samym sobie i w twórczości, nie rozprostowała do końca — zagmatwań. Skierowała go natomiast drogą na lewo, w jednym kierunku z określoną ideowo grupą. Już na przełomie 1934 roku do „ponadczasowego” Gorzenia zaczynają, zapraszani z wrodzoną gospodarzowi wylewną serdecznością — z pobliskich Wadowic, z Sosnowca, z Dąbrowy Górniczej — zaglądać, przyjeżdżać, czasem i na dłużej niż na kilka dni, młodzi ludzie niewiele ponad lat dwadzieścia na ogół liczący (z wyjątkiem rówieśnego mu prawie — Kuglina); artyści, malarze, rzeźbiarze, krytycy,

lewicujący społecznicy, anarchizujący poeci, działacze ludowi, jak na przykład Józef Stożek z Małopolskiego ZML. Z tym ostatnim łączy poetę dodatkowo też redakcyjna, Emil od 1934 roku był bowiem „szefem Stożka jako redaktor naczelny miesięcznika „Wies”.

W gorznieńskim dworze, w pokoju na parterze, w zapachu świeżo parzonej kawy, w chmurach tytoniowego dymu, czterdziestokilkuletni Mistrz czytał w młodym gronie, nocami aż do świtu, „Zmory” przed ich drukiem. Dyskutowano poza tym o pacyfizmie i militarystyce, drwiono z „akselbanckiej braci”, rozprawiano o kompleksach seksualnych i kompleksach ojczyźnianych, o ohydzie niewolnictwa, państwowych i wyznaniowych szowinizmów, o inkwizycji, rzezi, pogromach i pacyfikacjach czynionych w imię tzw. racji stanu... Ktoś proponował „ligę obrony przed współczesnym teatrem”, ktoś widział wyjście ze ślepej uliczki, w jakiej znalazła się ludzkość, w trzech elementach: mózgu — rozumie, sercu — rytmie i płci — żądzy, ktoś śpiewał:

Lśni zemsty śpiew

jak meteoryt —

i myśmy przelewali krew

lecz nie dla ojczyźnianych koryt...

Poeta-pacyfista podejmował melodię, improwizując:

a choćby i stalowy kask!

ostroga dzwoni, kosa dzwoni

ohydny dla nas wrzask: do broni!

bo to nie noc już, ale brzask!

I ten brzask kończył zazwyczaj owe „nocne rodaków” narady...

#### Poszukiwanie

Trzydzieste lata w Polsce, w Europie... Lata narastających obolałości, nieprawidłowości społecznych, lata kryzysowe... Potężniejące nacjonalizmy, groza faszyzmu. Nie mogło to wszystko nie wpływać na świadomość i wrażliwość poety, nie kazać mu jednoczyć się z innymi „w poezji pracy”. Raduje go wspólne pobratymstwo. Robota ożywia, to znów po dniach euforii ogarnia go niespodziewanie „nużące — jak pisze — przygnębienie”. Jeździ z odczytami, przemawia w Bytomiu („dziwnie tani było, w kuluarach teatru wersety z pism Hitlera... nastrój Polaków cichy, skupiony, zgaszony”). Obowiązki, praca, prezesura w Małopolskim Związku Młodzieży Ludowej, pragnienie podnoszenia kultury wsi, uświadamianie owej milionowej masie chłopskiej jej siły, fajerwerki pomysłów, zapalających się niekiedy na krótko, jak słoma, ciągła gonitwa — „uganiaczka”, zmiana nastrojów.

Dla jego struktury psychicznej zapewne mniej wyczerpujące, dające uciszenie, było przyglądanie się temu światu przez słoneczny pryzmat harmonii, zgody, wszechmiłości. Ale to było niegdyś...

Obecnie nie potrafiłby już tkwić w magicznym kole dawnych zauroczeń. Dziś podnieca go obraz: oto stoi przed zgromadzonymi tłumami i opowiada się „po stronie frontu pokoju i pracy — przeciw reakcji i nierówności”, oto sprzymierza się z tymi, co głoszą wolność człowieka, podąża tam, gdzie „jest walka o wyrównanie sprawiedliwości”; deklaruje to uroczyście w „Wiadomościach Literackich” w jednym ze swych artykułów. Oto wznosi w „Pieśni o Śląsku” okrzyk buntu:

(...) Krzykiem żądać owej wyrównania wagi,

aby nikt nie był głodny i nikt nie był nagi.

Potem salutuje tej ziemi:

Staję przed Tobą na apel,

na robotnicze wołanie —

miłością moją jest praca,

a miarą miłowanie.

Uproszczeniem byłoby jednak uważać, że słowa te wypowiedział już jako reprezentant — konsekwentny, monolityczny — konkretnego ideowego ugrupowania. Sam przecież wówczas pisał o sobie: „Komunista? — zapewne; lecz i anarchista z tą jedną subordynacją wobec geniusza ludzkiej myśli, wobec heroizmu drążenia otaczających nas mroków — światłem wiedzy. — Jestem anarchistą w imię utopii ziszczalnych”. I jakby jeszcze było za mało tych przeciwieństw, dokonuje

zawitej analizy samego siebie na podłożu „kompleksów rozdwojeniowych”, a więc: jestem „poetą — konstruktorem funkcjonalizmu marzeniowego i łowcą asocjacyjnych niepokojów”, ale także i „antyspołecznym społecznikiem (...); na podłożu nienawiści do wszelkich skrępowań i rygorów, i nieufności do mieszczańskiego zbiorowiska głoszę miłość człowieka abstrakcyjnego”.

A wczesna jego twórczość?... Ekspresjonistyczne w stylu „Zmory” — zawierające nie tylko erotyczne majaki, nie tylko pełny wyrazu obraz chłopięcego dojrzewania, ale i ostry atak, kpinę i szyderstwo ze „strasznych mieszczan”, z wychowawczego systemu Szkoły, c.k. gimnazjum wadowickiego — wywołały przecież gwałtowne reakcje wśród czytelników różnych przekonań. Jerzy Borejsza uznał „Zmory” za „obcą literaturę, obcą ideologię, obcy nurt”. Ostro rozprawiano się z uwidocznionym tam, jak określano, rozkładem burżuazyjnym, gigantycznym panseksualizmem. Mało kto umiał z tej skandalizującej wówczas książki, z tego ekspresjonistycznego wielosłownia, z mnogości drastycznych scen, wyłowić fragmenty o dużej urodzie, nasycone prawdziwą poezją, i zachwycić się nimi. Gwałtowność napaści próbował nieco złagodzić w swej prelekcji dr Gustaw Bychowski, starając się odpowiedzieć m.in. na pytania: Dlaczego sceny seksualne w „Zmorach” mają tak brutalny charakter? Dlaczego poeta lubuje się w grotesce, a nawet i w grozie? Dlaczego z taką pasją zdiera maski z dotychczasowej obłudnej, zakłamaney, pozornej czystości?... To „gorycz odkryć, obrazoburcze napięcie katarsis — psychoanalitycznie tłumaczył uczony — każe niewątpliwie niejedno widzieć w przesadnym świetle; jest w tym też zemsta za wszystkie złudzenia i zawiedzione wierzenia”.

Zbulwersowanym czytelnikom wraz ze „Zmorami” ukazał się nowy Zegadłowicz. Zdumiewał, poruszał, oburzał, przerażał nawet. Uczucia te spotęgują się jeszcze, gdy w przyszłości wyda dalszy ciąg doznań swego żywota w księdze zatytułowanej „Motory”.

„Czem nasze życie? — miłością!”

I w ten to świat — inny niż ten, w którym żyła dotychczas, ale taki sam jak ten, o którego istnieniu roiała, gdzie jej oczy, jak powiedział poeta, przemieniały się w „zmodrzone, źródlane zdroje”, gdzie można było poczuć się trochę szaloną — weszła Maria, kobieta młoda, z gotowością wędrowki po nowych obszarach, z gotowością zrozumienia i pokochania wszystkiego, co pragnął ukazać jej cicerone. Wychowanie, ideały — bohaterowie młodych lat, kanony postępowania przyjęte na dorosłe życie zdawały się teraz stać w jaskrawej sprzeczności z tym, co głosił Emil.

W tymże 1933 roku — roku poznania — była już kobietą dojrzałą, matką dwóch córek i syna. Kończyła trzydziesty piąty rok życia i zdawała sobie sprawę z trudnej sytuacji, zewnętrznej i wewnętrznej, jaką tworzyła i umacniała tym związkiem. Mimo to podjęła ryzyko, wierząc, że cena, którą przyjdzie jej, być może, zapłacić, nie będzie tak uciążliwa, gorzka, nieciekawa jak w małżeństwie. Mówiło jej doświadczenie, jak ważne jest, aby już u startu życia towarzyszyła wspólna hierarchia upodobań, zainteresowań, podobny stosunek prawdy i kłamstwa, do gry pozorów, aby dwoje ludzi — partnerów (a czasami może i w istocie swej: przeciwników) pochyliło się z szacunkiem, choćby udając ów szacunek, nad światem wartości i doznań tej drugiej istoty. „Inni byli po prostu! — stwierdzi po latach córka Maryli i Mariana Stachelskich. — Nie dobrali się, nie dopełniali. Inaczej — z Zegadłowiczem. Czula się z nim radosna, odrodzona. To był uroczy człowiek, kochany, serdeczny...”

Gdy zostawiliśmy Marię w 1925 roku, z córeczką Anną, z mającym przyjść wkrótce na świat drugim dzieckiem, nie można było przewidzieć, mimo pewnych niepokojących oznak świadczących o ciężkim procesie „dopasowywania się”, że za lat kilka, gdy urodzi po dwóch córkach jeszcze i trzecie dziecko, upragnionego przez męża syna, dojrzeje w oboju chęć rozwiązania tego prawie już dziesięcioletniego związku. W pojęciu małżonków owa decyzja miała automatycznie usunąć dotychczasowe niepokoje i rozżalenia Marii: Czemu Marian nie wraca do domu o ustalonej porze? Czemu przełożył jakiś, ponoć obowiązkowy w jego stanowiskowej sytuacji, całoroczny bal nad wspólny wyjazd z dziećmi do oczekujących ich dziadków? I dlaczego podkpiwa sobie bezustannie z tego czytania dzieciom „durzących — jak to określał — wierszyków”, śpiewania tak lubianych przez nią prostych piosenek: Dudni woda, dudni... Chciało

się Zosi jagódek... O, mój rozmarynie... Biała lelija biało rozkwita...? I lekceważy jej malunki, rysunki, choć sam przecież ongiś parał się farbami... A przede wszystkim od początku nie rozumiał, że dla niej przysięga małżeńska — wierności i nierozzerwalności — była rzeczywiście świętym przyrzeczeniem.

Z kolei to rozejście się przetnie wreszcie pretensje męża do żony: że Maria nie chce towarzyszyć mu w licznych różnego rodzaju reprezentacjach, prezentacjach, bywać w kasynie, zaprzyjaźniać się i spędzać wolnych godzin z paniami z tak zwanej wojskowej rodziny. Któż tu jest winien? Może i on? Czas więc już tym rozwodem uspokoić i pewne wyrzuty sumienia, że za mało wnikał w psychiczne stany partnerki, nie otaczał potrzebną troskliwością, że wołał często partyjkę bilardu, bridża, dłubanie godzinami przy radiowym aparacie niż spacer z rodziną, pójście na koncert z dziećmi, na przedstawienie. Właściwie wszędzie tak jest... I jest dobry — myślał — taki podział ról, mężczyzny i kobiety, ale Maria jest rzeczywiście jakaś inna, bezkompromisowa, robiąca to, co mówi, nudząca się z paplającymi rówieśnikami, chcąca — jak powiada — żyć w zgodzie z sobą. A więc chyba lepiej będzie żyć im w separacji.

Po rozwodzie Maria zamieszkała w Krakowie razem z trójką dzieci: Anną, Izabelą i Jankiem; chłopiec, choć miał pozostać przy ojcu, całymi tygodniami przebywał z matką i siostrami, tu czuł się najlepiej, rodzinnie. Kontakty nie zostały zerwane, przyjęły nawet formę jakby przyjacielskiej znajomości. Alimenty wypłacane przez majora wystarczały na dostatnie prowadzenie domu. Na zachowanych z tego okresu amatorskich zdjęciach — widzimy Marię z dziećmi, z siostrami, z matką, ojcem. Rozmaite tło: Krakowskie Planty, drzewa w majątku dziadków, ulice Dąbrowy Górniczej, ściany pełne obrazów w mieszkaniu w Krakowie przy ulicy Kieleckiej.

Od 1933 roku na licznych fotografiach pojawia się jeszcze jedna osoba — Emil Zegadłowicz. Nie kryją swej miłości. Oto w saloniku, na wysokiej etażerze, stoi oparta o wazon pełen kwiatów — jego fotografia, oto w jadalni na tle brązu rzeźbionych kafli pieca odcina się jasno przyodziana pięcioosobowa grupka: Maryla, trójka jej dzieci i poeta. Atmosfera zacisznego gniazdka: domowe pantofle, mała Iza na kolanach pana Emila, najmłodszy Janek u stóp mamy i „wujka”. Widome świadectwa uczuciowego przymierza. Ale są także i inne dowody: rękopisy utworów, pod którymi kładzie datę i miejsce ich tworzenia: Kraków, tomiki poezji. Książki te przesyłane czasem „okazją”, przez znajomych, m.in. „Podszluchy”, „Dom Jałowcowy”, „Pokosy”, Dęby pod pełnią” — dla niej, dla jej córek — a na pierwszych ich stronach dedykacje. Na „Pieśni o Śląsku” napisze:

Najukochańszej, najdroższej Maryli  
Ten poemat — tylko tem jednym ważny,  
że powstał w ciepłym cieniu postaci  
Jedynej, którą miłuję ponad życie  
i ponad śmierć...  
— Ślę go Twemu sercu, które wybaczy  
nikłość słów i wzmoże dobro ich, jeśli jest —  
Dzisiejsza moja pieśń o Śląsku  
gra się niepojętą słodyczą pierzchliwego dotyku —  
Tam — na tym skwerze — w obliczu nocy i gwiazd —  
Na wieki spojeni —  
Nic nas rozdzielić nie zdoła —  
Zagubieni w sobie do ostatka —  
My: początek i koniec —  
—: Kocham!

24 listopada 1933 r.

Gorzeń Górny — Katowice — Kraków —.

Na „Dramatach”, które przywiezie Maryli do Krakowa osobiście, w półrocze ich poznania, skreśli słowa:

Daleko nam jeszcze do wspomnień —  
niechby je raczej zastąpiła

wspólność dni i godzin —  
Gdy Ci się — Najdroższa —  
zdarzy książkę tę wziąć do rąk —  
pragnę — by Cię myśl chwyciła  
w sieć złotych i lśniących chwil  
obecności naszej na „Lampce oliwnej” —  
30 listopada 1933 r.

Chciałbym wielkim dziełem  
okupić szczęście —  
To wszystko co Ci w tej niebieskiej chwili  
chcę rzec — przy wtórze dziecięcych  
głosów ciepłych Twem ciepłem —  
Twój Emil

3 grudnia 1933 r. Kraków

W kilka dni później przyniesie „Dziwanny”, a wraz z nimi ten rękopiśmienny czterowiersz:  
Szliśmy z oddali — cieniem —  
spotkaliśmy się — płomieniem —  
czem nasze życie —? — miłością —  
czem miłość nasza —?— wiecznością!

Maryli — Mil

11 grudnia 1933 r. Kraków

Dzieci na „dorosłych” książkach otrzymują od niego dedykacje ciepłe, dowcipne, stosowne do ich wieku. A więc:

Kochanej Anulce ku słodkiej pamięci bieraniny  
gorzeńskiej i tego, co się „na dobranoc”  
wyprawiało z misiami i królikami

Emil Zegadłowicz, Boże Narodzenie 1933 r.

(...) w tej chwili dowiedziałem się od Mamusi, że to Twoje imieniny — ślę Ci przeto  
najserdeczniejsze życzenia, całuję Cię i głaszczę po główce — Twój Mikołaj Srebrmpisany.  
Jeśli nie siedzi w Krakowie (a przyjeżdża tu bardzo: często), w Gorzeniu bywając wówczas  
rzadkim gościem — to z różnych miejsc pobytu ślę listy, kartki, odkrytki.

Katowice. 6 października 1933 r.

Marylko! — słodka, jedyna Marylko — zwlekałem z listem - pragnąłem odgonić wszelkie  
przeszkody od dnia, który mnie utrzymywał w energicznej formie — w tych tygodniach uganiaczki  
ustawicznej (przez cały ten czas chwili wolnej dla siebie nie miałem — prócz snu) — niestety nie  
dało się tym razem — do dziś byłem pewny, że wieczorem wyjadę do Krakowa (mam zaproszenie  
na raut wawelski) i zostanę na sobotę — tymczasem wypadł mi objazd, którego odłożyć nie mogę  
— dziś wieczór zajęty — jutro muszę być w Skoczowie. — Odjęty mi jest ten dzień — mnie i  
Tobie — ukochana! — Wyznam Ci, że po raz pierwszy (od wielu lat!) buntuje się coś we mnie  
przeciw dyscyplinie, której wierny byłem i jestem... zacinam zęby!

— Napiszę wnet; — Marylko! — za najdroższe słowa Twe — rączyny Twe całuję; pisz i...  
kochaj! — cóż nas piękniejszego spotkać może na ziemi!

Całuję powieki Twe pierzchliwe i najśodsze usta. Twój Emil.

Przyszły tydzień będzie lepszy i — zapewne — łaskawszy.

Na jednej z kartek widnieje gorzeński dwór od bocznej strony, w oknie — postać mężczyzny. I  
słowa:

Marylko! — Więc tak: we wtorek jadę 9.05 do Krakowa —

wyjadę o 3.15 do Skawiny. — Jest wielce radośnie i podniosłe! Oczęta, (...) całuską Najdroższą  
panienkę całym sobą całuję!

Twój Mil.

Oto nasze okno — w niem Mil. 9.VIII.1934 r. Gorzeń Górny.

(Rzecz niezwykła i nieoczekiwana dla tej trzydziestokilkuletniej kobiety: oto spełniają się

marzenia. Nic już więcej nie trzeba, tylko słuchać głosu serca, dać się unosić falom namiętności, upajać dumą, że rozżarza uczucia człowieka nieprzeciętnego, wierzyć, że oto spełnia się symbioza ducha i ciała, pozwolić mówić poecie:

Lilją alabastrową wyrastasz z mojego ciała —

jesteś mgłą, zorzą, światłością,

którą miłość przywiała.

Pomiędzy Tobą i mną

rodzi się rozkosz obłądana, szalona —

- jest podobna do Ciebie: Piękna, smukła, rozsrebrzona.

(„Wrzosa”)

Stan gorącego napięcia, wzajemnej, głębokiej fascynacji, „miłowania, godzin ekstazy, zielonych zachwyty” trwał przez lat kilka. Z tej atmosfery, ubaśnionej, nierzeczywistej, w której odnalazła tożsamość, rozkwitła, nie mogło wyrwać jej ani zatroskane oblicze matki, ani potępiające spojrzenia sąsiadów, ani ostrzeżenia: Niech Pani uważa, pani Marylko, miłość poetów jest niestała. A że pisze do Pani płomienne apostrofy:

„— czem nasze życie — ? —: miłością — — czem miłość nasza — ? —: wiecznością”

— to rzecz zwyczajna u Emila, te zapewnienia o miłości, o wieczności... W danej chwili, w danym okresie — szczerze nawet, spontanicznie.

Mnożyły się miłosne wiersze, śmiałe erotyki, rosły pakiety listów, pisane przez poetę do Maryli, do jej córeczek.

Ujawnijmy choćby kilka z nich. Mówią nam ono o Zegadłowiczu innym, nie tak gniewnym, nie tak skłóconym z otaczającą go rzeczywistością, nie tak pełnym gorzkiego buntu i apokaliptycznych, wizjonerskich bez mała obrazów niedalekiej przyszłości, niepokojów czasami wstrząsających Europą. Przy Maryli, w jej domu, znajdował psychiczny azyl i pełne miłości poddanie się tej umiejacej kochać bez cienia egoizmu kobiety. Córki: Ania i Terenia, przepadały za jego towarzystwem. Potrafił bawić się z nimi, pozwalał w swojej gęstej srebrnej czuprynie ustawiać laleczki, różne zabawki: ptaki, misie, tworzył na oczekaniu zabawne wierszyki, piosenki. Raz kazał zgadywać: kto jest na tej fotografii? Zdjęcie przedstawiało małego, może pięcioletniego chłopca z grubą książką w prawej ręce, w lewej zaś z komicznym ogromnym kapeluszem o wielkim rondzie. Aksamitne porcięta, upstrzone na bokach rzędami wypukłych guzików, wpuszczone były do wysokich, sięgających kolan butków. Do kołnierzyka odświętnej kurteczki przypięto mu białą haftowaną kreskę. „Włosy płowe szcześnie grzywką na czoło; uśmiech skośny, nieco ku lewej stronie wzniesiony” — toż to żywcem przeniesiony na fotograficzną takturkę Mikołaj Srebrempisany z opisu w zegadłowiczowskiej powieści.

Czyżbyś to ty był, wujku Emila? — śmiały się dziewczynki.

Rzeczywiście, jego to przedstawiała fotografia, a informacja na odwrocie ujawniała wykonawcę: „Paweł Dudka. Wadowice”; mistrz widać nie lada, bo jego nazwisko otaczała girlanda złotych medali za arcyzm konterfektów.

To zdjęcie, podobnie jak i rękopisy wierszy poety, jego książki, znajduje się w prywatnym zbiorze córek pani Marii, sąsiadując z kartkami późniejszych listów, i różnych dat, o różnej treści.

Marylko — ukochana niewiasto! — Słowa twe mają dźwięk wieczysty! — Tęskno już bardzo!

Robota bezmierna. — Ta codzienna powszednia i ta — sercowa! Kiedy się stąd będę mógł wyrwać?

— Akurat w sobotę wypadła premiera — w Gorzeniu też nie byłem od widzenia się z Tobą. — A właśnie w tem wszystkim — błękit we mnie i dalekie widzenie: to Ty! —

Całuję rączyny Twe i usta przesłodkie —

Marylko! Twój Emil

13 października 1933 r. Katowice

Listów wysyłanych przez poetę do Krakowa na ulicę Kielecką jest sporo. Do jej dzieci — także...

24 lipca 1935 r. Gorzeń Górny. Kochana Aniu —

— dzięki radiu mam na biurku kalendarz, dzięki kalendarzowi wiem, że pojutrze są Twe imieniny (— mizerną mani pamięć do takich dat świątecznych) — bardzo się uradowałem, że dobry kalendarz w czas mnie upomniał —



— z całego serca ślę Ci najlepsze życzenia: pogody, radości i uśmiechu — niechaj dobro, którego tyle w Tobie widzę — przewycięży wszelkie zło — i niech się uśmiech Twój stanie darem radosnym dla Ciebie i wszystkich, którzy Cię otaczają. Tam gdzie spojrzą mądre oczy człowieka w Twym wieku — to tak — jakby słońce spojrzęło: niechaj życie Twe będzie wyspą szczęścia i promienności wśród nazbyt burzliwego życia — pragnę, aby kiedyś o Tobie powiedziano, żeś powiększyła na ziemi dobro i przez to samo umniejszyła sumę zła! — Liczę na Ciebie!!

Całuję Cię mocno  
jak ojciec i starszy brat  
Twój ( — ) Emil Zegadłowicz

W pół roku później, także z Gorzenia:

Aniu i Tereniu.

Kochane dziewczynki moje!

Tak mi się markotno zrobiło, że rozstaliśmy się tak jakoś jakby bez pożegnania — a to wszystko przez te choróbka nasze głupie — gdy wszyscy chorują — no to wiele złego na jednego. — Mam nadzieję, droga Aniu, że Ci już lepiej i że odrą Odrą odpłynęła — a Ty, miła Tereniu, przytucz się nieco, boś chuda jak grzysi — w ogóle obie nieco przytyjcie — a gdyby Najdroższa Mamusia Wasza jeszcze chciała trochę nabrać ciała, to byłyby (ale nachylcie się. — to Wam tylko do uszka mogę powiedzieć!) — to byłyby na Kieleckiej pod Numerem czwartym Trzy kochane świnki i byłby cały szczęśliwy poemat — no bo świnki przynoszą szczęście jak wiadomo. I może by wtedy i temu siwemu panu (chciałby być Waszym tatusiem — przynajmniej mówił), który do Was pisze, odrobinę szczęścia przyniosły. Dużo dzisiaj opowiadałem o Was p. Kocikowej i Smykowi — dopytywał się: a jak, a gdzie, a co, a czy grzeczne? — odpowiedziałem: moje kochane dziewczynki są zawsze grzeczne — a dlaczego? pyta (taki bezczelny) — a dlatego, że kochają Mamusię, a miłość każda czyni człowieka dobrym, musi być tylko prawdziwa miłość; no i tak gadaliśmy sobie - on się potem umył i poszedł spać. Zrobię to i ja, bo już późno — a bardzo jestem zmęczony. Śnieg w Beskidzie śliczny — a powietrze jest takie przeźroczyste, że doskonale widzę Was przez okno moje —

pa, dziewczynki najmiłsze, całuję Was 1000 razy — kilka z tych ucałowań oddajcie Najśłodszej Mamusi na dobranoc — Jasia też ucałujcie mocno — Pa! Wasz kochający Was bardzo — poeta.

„Wrzosa” dla Maryli

To Jan Kuglin, którego poznałam w skoczowskim domu Gustawa Morcinka, pierwszy opowiedział mi o „Wrzosach” i adresatce zawartych tam miłosnych poematów. Wspomniał też i o drugiej, także unikalnej książeczce zegadłowiczowskiej, o „Pokoju dziecinny”, dodając: „Proszę przyjechać kiedyś na Dicsteina, pokażę te tomiki, a może i pozwolę zreprodukować ich strony.”

Wkrótce, a było to z górą przed laty dziesięciu, znalazłam się na Szczytnikach we Wrocławiu stając przed domem przy ul. Dicsteina oznaczonym numerem — mieszkaniem państwa Kuglinów. Za oknami... młoda wiosenna zieleń starych drzew, zapachy bżowe, czeremchowe wlewają się nieprzerwaną strugą do obszernych pokoi, do pracowni pana Jana. I w tym to gabinecie na biurku artysty typografa, bibliofila, ujrzałam „Wrzosa” i po raz pierwszy Marylę na fotografii. Gospodarz uzyskał w tym czasie, w siedemdziesiątym siódmym roku pracowitego żeglowania (na tomikach swoich „Bibliotek” obok znaku typografa dodawał greckie zawołanie: eu ploi — niech szczęśliwie żegluję), tytuł doktora nauk humanistycznych za pracę na temat... książki, jej poligrafii.

Królestwem książek można też było nazwać jego mieszkanie, i to nie tylko tych drukowanych, ale i rękopiśmiennych, sprzed wieków, na papierze z bambusowych liści, pergaminów z żywymi barwami inicjałów. Palimpsesty, inkunabuły, najmniejsza książka świata wryta na klocku mającym... dwa milimetry. I rarytas: tak zwana „Grzeszna Biblia” z XVII wieku, której jedynie trzy egzemplarze ocalały ongiś od zniszczenia; jako że nie chciano, aby szerzyła ruję i porubstwo tym, że niedbały zapewne drukarz opuścił w niej jedno przykazanie: Nie cudzołóż!

To o Kuglinie jeszcze w Poznaniu pisał Zegadłowicz! ....., jest taki ktoś, który w najgorszych

warunkach i najopaczniejszych czasach książce dobrej poświęca wszystko" czas, pieniądze i siebie — fenomen! szalenie! Jedno i drugie niezawodnie... No i jeszcze to trzecie: prawy, prosty, jawny, uczciwy, sumienny człowiek!"

Jedną z tych książek dobrych artystycznie, z wypieszczoną czcionką po czcionce, były „Wrzosi” Zegadłowicza. Na owych stu stronach grubego papieru poeta ujawnił wszystkie barwy i odcienie uczucia — od pastelii lirycznych zwierzeń do ostrej erotycznie czerwieni. Rok wydania: 1935, nakład: pięć egzemplarzy. Posłowie było Jana Kuglina. Skierował je do autora:

Ukończyłem pracę nad wydaniem Twego poematu „Wrzosi”. Pisałeś go nie do druku - jako częściowo nawet nie wysłane listy do Umiłowanej - więc też odbiłem go na prawach rękopisu. Wydałem Ci go, byś nim mógł uczcić drugą rocznicę spotkania z nią, z swoją wielką tragedią; wydałem jako jeszcze jeden dokument Twych zmagania na kamienistej i ciernistej drodze człowieczeństwa. (...) Książkę przyozdobiłem ośmiu reprodukcjami rysunków i szkiców Maryli. Ukazuje się w pięciu egzemplarzach. Pierwszy przeznaczony dla Maryli, drugi niech przechowa biblioteka gorzeńska w dziecinnym stoliku Mikołaja, trzeci otrzyma Biblioteka Jagiellońska z zastrzeżeniem, że książka dopiero w roku 1985 może być oddana do użytku publicznego. Egzemplarz czwarty zachowa archiwum Drukarni, piąty jest moją własnością.

Gdy tak strona po stronie oglądaliśmy „Wrzosi”, dr Kuglin powiedział: „Pani Maryli, niestety, nie znałem osobiście. Patrzałem na tę miłość, znając Emila, trochę z niepokojem, czemu dałem wyraz w posłowie. Co do wierszy, zawartych w tym tomiku, uważam, że Prof. Witold Wyspiański - narzeczony Maryli zastrzeżenie ich druku do określonego terminu nie dotyczy egzemplarza z moich zbiorów”. A potem dał mi mikrofilm egzemplarza, tym cenniejszego od tego z Jagiellonki i z gorzeńskiej szuflady „mikołajowego” stoika, iż bogatszy był o rękopiśmienne dedykacje Emila i Maryli oraz o wklejoną tam ich wspólną fotografię na tle kwitnących drzew.

Drogi Janie — Dziękuję Ci serdecznie za tę książkę — za jej byt, który tylko Tobie zawdzięcza — dziękuję Ci za trud, za opiekę i za zrozumienie — słowa Twoje na końcu tej książki są słowami takiej przyjaźni, na jaką pragnę zasłużyć — w stosunku do Ciebie — chcę, więc zasłużyć! — Całuję Cię mocno, Twój Emil Zegadłowicz, Kraków, 10 grudnia 1935 r.

W trzy dni później, na tej samej stronie — słowa Maryli skierowane do typografa-artysty: Drogiemu Nieznanemu Przyjacielowi — dziękuję! Dziękuję za to, że jest współtwórcą tej książki, którą ja zwę „najcudowniejszą księgą świata” i — dziękuję za tę dobrą, wierną przyjaźń, którą Pan darzy mego Poetę — mego Miła — Męża mego — tę jedyną wielką Miłość mego opacznego życia... Czy i dla mnie będzie Pan miał trochę tej dobrej przyjaźni? — Maryla. Kraków, 13 grudnia 1935 r.

Na każdej ze stron tomiku mieści się pięknie zakomponowany graficznie jeden wiersz. Jest ich ponad sześćdziesiąt — wielozwrotkowych i cztero-zaledwie-linijkowych, wszystkie o dużym ładunku emocjonalnym, obleczonym w rozmaite formy, uderzającym w różne tony: litanijne, strzelistych apostrof, kołysankowych melodii, to znów gwałtownych wyznań. Codziennosc przyobleczona w błękity, w srebra i purpurę, bezustanne święto doznań ciała, ducha, zachwyty, antyfony, ciepła rzewność, to znów ostry żar, żądza obłąkańcza, ziemia jako ta „klacz chutliwa”. I w tej to atmosferze upojenia, ona — sprawczyni czarów, ona — zapach „ziemiemięty”, ona — „nowina prawdziwa”, powietrze i światło. Jej dziewczęce ciało — lilią białą, „zębów szkliwo — objawieniem”.

Wiatr Cię przywiał ku sercu w dożynkowym darze

Czar Twój jest jako morze, tonę w Twoim czarze.

Pożegnania i przywitania, rozmowy i modlitwy bez słów, Gorzeń — Kraków, przyjazdy Maryli w Beskidy, spotkania już nie ukradkowe... Wspólne dni, wspólne noce... Obnażył to wszystko aż do granic ekshibicjonizmu w poematach, opatrzonych skromnym tytułem „Wrzosi”.

Po tak długich miesiącach  
po tak strasznej rozłące —  
jakie oczy masz modre,  
jakie usta gorące!

(„Przywitanie”)

Rodzą się „strofy do nienarodzonego synka”, powstają wierszowane epistoły, a wśród nich ten jeden, pierwszy w kolejności „List”:

Niebieskie są oczy Twoje

Marylo —

— zmodrzone, źródlane zdroje —

Srebrne są moje włosy

Marylo —

Traw zwiewne, jesienne kłosa —

Złote są loki dziecińcy

131!

Marylo —

zrodzonej z najszczęśliwej godziny —

Nie wiadomo, ile w tym prawdy, ile zmyślenia, ale chodziły pogłoski, że w owym okresie poeta, chcąc uśmierzyć nękające go czasami jakieś bóle, sięgał po różne środki farmakologiczne. Ponoć wśród nich znajdowały się także i — podniecające. Czytając niektóre wiersze z „Wrzosów”, tak śmiało w erotyzmie, oraz dramat „Pokój dzieciński”, można snuć przypuszczenia, że poszczególne fragmenty utworów istotnie były owocem dodatkowych pobudzeń. Taki na przykład wiersz „Szał”.

Gdy mi nagle zarzucasz nogi na ramiona

wrzęcej w żyłach rozkoszy warem rozogniona —

gdy ręce moje, węże oszalałe żądzą,

po udach Twych i brzuchu ślepe, gniewne błądzą —

gdy Twe trzewia nasienia opryskuje wrzątek,

gdy krzyczę, żeś Ty wieczność, koniec i początek —

gdy wołam: daj mi oczy! daj mi Twoje oczy! —

— ziemia zrywa praw łańcuch i w bezkres się toczy!

— z świstem,- z łopotem, z hukiem! ziemia klacz chutliwa —

pędzi! tętni! — a nad nią skier pianistych grzywa!

Do grzbietu jej przywarci, przemienieni w jedno,

lecimy w zawierusze gwiazd w groźne bezedno!

Nikt dotychczas nie mówił adresatce „Wrzosów” o rzeczach głęboko zawsze tajonych w taki sposób, że wstydem byłoby się ich wstydzić. Nikt tak wysokopiennie, przyobleczonej w poezję słowami nie potrafił wyrazić uczuć i uniesień i odpowiadać na jej pytania w rodzaju: Jaki ty, Milu, właściwie jesteś?...

...I zapytasz, czym byłem, czym będę, czym jestem,

jaka po mnie melodia i słowo zostanie —

Odpowiedzą Ci chmury, że byłem protestem

przeciw wszelkiej małości, me słowo: wołanie!

Nikt z jej dotychczasowego otoczenia nie był zdolny tak jak on wytłumaczyć

czem własnych państwa niewola nad obcą straszliwsza

stojąca w poprzek drogi przed wielkim pochodem ku przyszłości...

I nikt nie próbował wzniecać w niej gniewu i pogardy dla „obłądu stu wyznań, religii obłądy”, zapalać nadzieje:

że nadejdzie kres państwom robotniczą wiosną

i nadejdzie wielkości i myśli godzina —

i znów narcyzy sercom miłującym wzrosną,

z ziemi, z ziemi!! — nie z lufy podłej karabina.

Miłość poety w jednakowej temperaturze wrzenia, w stanie wysokiego napięcia, trwa przez przeszło trzy lata; bez zmian, jeśli pominąć typowe dla Zegadłowicza nierówne nastroje, depresyjne zapaści i nie brać za znak osłabienia uczucia do Maryli jego samoudręczających, nasyconych agresją i swoistą zjadliwością kpin i żali. A o co są te liczne pretensje do Umiłowanej?... O „paskudne łezki sentymentu”, „poetyzowanie, szanowanie pozorów”, o sztuczne upiększanie przez

falszywą ambicję swej dawnej przeszłości, o dawne fascynacje wojenkowo-legionowe, „o nieobecność swą w jej seksualnej przeszłości”, o ciepło wzruszenia i błysk dumy w oku na widok ułańskich czak i poruczyków, o malowane przez nią marzenie o cichym, białofirankowym mieszkanku — tak zwany czar domowego ogniska — z ryngrafem i szablą na ścianie, o branie w obronę przed gwałtownymi atakami ludzi w mundurach wojskowych o wyższych stopniach, o delikatność sformułowań pewnych drażliwych spraw, o jej receptę wszechprzebaczącą na obolałości i nieprawości społeczne tego świata, streszczającą się w jednym tylko słowie: Kochać!

— Tylko miłość człowieka do człowieka zdolna jest przemienić wszystko na lepsze. Nienawiść zatruwa, nie ucz mnie jej — prosiła nieraz poetę. — Aby przyszła miłość i zwyciężył ten, „kto bardzo miłuje”, musi najpierw w walce zniszczyć to, co stoi na drodze do postępu, sprawiedliwości.

Dialog autora i Balbiny („absolutnie nierozumiejącej”) z „Pokoju dzieciennego” — dramatu ukończonego w 1935 roku, zdaje się być echem ówczesnych rozmów Emila i Maryli.

Autor: (...) któreś obłądnej nocy, gdy gęste chmury gwiazdy zakryją — wypełnie we wszystkie udęczone mózgi nienawiść... a jednak, a jednak wierzę...

Balbina: W co?

Autor: W tak zwane jutro.

Balbina: Jakie?

Autor: W jutro etyczne, w jutro podniesione ponad głupotę i złość, ponad przemoc i niewolę — wierzę w anarchistyczną wolność uczciwego człowieka.

Balbina: Czemu mówisz o nienawiści? I kto to mówi? Ty, głosiciel miłości! I ty mnie zarzucasz niekonsekwencję.

Autor: Przeciwwstawiasz pojęcie rozwoju — pojęciu niekonsekwencji; cechy powierzchowne są tu czasem podobne.

Balbina: (uparcie; zdaje się jej, że atakuje) Czemu mówisz o nienawiści?

Autor: Wybacz, lecz właśnie mam prawo tak mówić — ja, któremu nie zostało nic z przemysłowca doktryn prócz jednego ziarna: troski o człowieka, może nieco abstrakcyjnego człowieka, człowieka nazbyt jutrzejszego, zgoda, lecz: człowieka! Przeto do ostatniego tchnienia będę go bronił przed dzisiejszością, która trwa już kilka tysięcy lat.

Balbina: Tyś mnie może źle zrozumiał; przecież ja cię bronię, broniłam namiętnie i będę tak bronić zawsze i wszędzie, i przed każdym, lecz tobie jednemu powiem, że rację muszę im przyznać w głębi... (zacięła się; chciała powiedzieć „duszy”, lecz wie, że on tego nie lubi; nie chce zrażać drobiazgami, którym, niewieścim sposobem, przypisuje nadmierne, może nawet decydujące, znaczenie; w ten to sposób pragnie wyrównać rachunek na tej stronie bilansowej, na której wielkie sprawy uważa za drobiazgi i też „w głębi” i też „duszy”).

Autor: (...) Zważ, miła moja, owe zbakierowane nastawienia jurystów, kodeksistów, praworządników, pedagogów — ludzi, którzy na rozkaz dzierzymordów zachwycają się tym, że tak jest, jak jest; militarne rządy wychowują dwa typy obywateli: tchórzów i głupców; taki zresztą jest tych rządów program; dodaj do tego atmosferę, w której wyrosli: on, ona, ono, oni, one, atmosferę złudnej walki o jeszcze złudniejszą wolność, bowiem wolność „ojczyzny” jest niewolą chłopca i robotnika; i zapamiętaj to: myśli niepodległościowe nie są identyczne (myli to często) z myślami postępowymi czy liberalnymi — są ich przeciwieństwem; no, toteż i mądrością nie są nigdy; w najlepszym wypadku są wiarą w absurd nacjonalistyczny; filozofia hotentotów obwieszonych blaszkami i pomalowanych wojennie! Kiedyż się skończy to rozpychające się w „kрасie polskiej”, pyszałkowate ułaństwo? Czyż na to nas tylko stać? Jakież jest nasz wkład w myśl choćby europejską? Mocarstwowość! To znaczy iks pułków, iks armat, iks samolotów — więc stwarzamy to jedno: czerwonocęgły gmach koszarowy! To wszystko! A dookoła nędza, głód, analfabetyzm, strach, podłość! No, tak! Świat widziany przez dziurkę w stalowym hełmie jest bardzo ograniczony.

Balbina: (z zapalem absolutnego niezrozumienia) To, co mówisz o antymilitaryzmie — na to wszystko zgoda.

Autor: A jakżeż to przeciwstawiłaś się temu, gdy twojego siedmioletniego synka pytał po sutym obiedzie ojciec i dziadek — w skrupulatność składania serwety pytali: „no cóż, Władziu, będziesz

żołnierzem — ha?" I śmiali się zdrowo, że to przecież nie może być inaczej, a ty? — nie rzekłaś nic, choć dokonano nad wątłym organizmem chłopięcym potwornej egzekucji; lecz któż dziś o tym wie, że to jest zbrodnia?

Balbina: (mówi spłoszonymi źrenicami; wydaje się, ale to pewnie złudzenie, że brwi — skrzydełka jaskółcze — zatrzepotały i frunęły, i uderzyły w kraty okienne, i potłukły się, i opadły; a to wszystko nieprawda) Cóż poradzę, cóż ja poradzę, cóż ja mogę poradzić.

Autor: Oczywiście nic; kto z wojownikami płodzi dzieci, utrwała wojenny stan na świecie; oto bodaj jedyny wypadek, w którym obłąpka staje się występkiem: jakiemu dajesz, taką się stajesz.

Balbina: (nareszcie ma pretekst; równocześnie przypomina się jej szereg sytuacji miłosnych; błyskawicznie; wszystkie otwory jej ciała zapełniły się nagle bohaterską spermą; wszystkie; czuć ją wyraźnie w powietrzu) Wstętny jesteś! Mieli rację ci, co... (...)

Mów, słowa twe są jak najśłodsza pieszczota; ach, to oczy twoje czarne jak nów, te usta wąskie, drżące, namiętne, twe ręce — jakbyś je sam wymarzył w miłosnym śnie! Jaki ty piękny, kocham cię ponad wszystko, co jest, co było, co będzie.

Autor: Przemawiasz modlitwą.

Balbina: Jesteś moim bogiem i nie chcę mieć innego poza tobą.

Autor: Ciągłe Ci czegoś brak, ciągle czegoś szukasz poza człowiekiem — to właśnie jest religia: brak poczucia własnej odpowiedzialności, brak wiedzy o sobie.

### Pożegnanie „Pokoju”

Balbina-Marię sprowadził autor swą wyobraźnią do pokoju dziecinnego w gorzeńskim dworze, „w którym mieszkał ongi mały Mikołaj” — Emilek, i tam przeniósł te dialogi, światopoglądowe spory, miłosne jedynomyślności, harmonię ich erotycznych doznań. W istocie Maria raczej nie bywała tam gościem, a tym bardziej uczestnikiem spotkań w męskim gronie. Ekstatyczny finał pisarz połączył z końcową sceną katastroficznej wizji Europy, będącą zarazem ostatnim fragmentem sztuki: „W pewnym momencie kłębowisko granic poczyna drżeć i wykonywać ruchy kurczowe, robacze, ruch jelit; linie wydymają się lub zaokrąglają do wnętrza; w jednym i drugim wypadku cienieją niepokojąco; grożą pęknięciem. Nagły huk strzałów armatnich, natrętny trajkot mitraliez, furkot samolotów, wybuchy bomb, jęk, przerażenie, przekleństwo konających: wojna! Straszliwy, głuchy, z trzewi ziemi dobytą wybuch wyrasta słupem w czarne niebo, zmiata scenę Europy z powierzchni globu. W rozwarły, żarłoczny lej z ogłuszającym szumem wlewa się spienione morze”.

Zanim jednak w „Pokoju dziecinnym” Europa zostanie zmieciona z mapy świata, zanim dudnienie bomb i huk strzałów przygłuszy dyskursy zgromadzonych w beskidzkim domu przyjaciół gospodarza, poznamy ich bliżej — z imienia, z nazwiska, z zawodów, z poglądów.

Z jednym z druhów poety spotkaliśmy się już wcześniej; to Jan Kuglin — Jan z Bogumina, najstarszy (bo „lat aż czterdzieści”) z całej gromadki, na ogół nieobecny duchem w gorzeńskich gorących, młodzieńczych dysputach. Oddalony od spraw tego świata, od apokaliptycznych zagrożeń, wierzący, że honor epoki uratować może przede wszystkim poezja, stoi na uboczu, obok półki z książkami, wertując stare druki i wykrzykując raz po raz:

- Co za papier, co za druk! Widzieliście? „Sophiowska — poeme polonais fraudit en vers francais par le Comte de Legarde” — Vienne 1815. I te ilustracje, staloryty Schlotterbecka i Allena! O, „Młot na czarownicę”, Ileż lat szukałem; „dam z Dubna pierwszego dnia maja w roku 1614”. „Satyry Krasickiego” — 1779 rok — piękne wydanie!

Marszczy z przejęcia duże czoło, „mały wąsik na szerokość nozdrzy tuż przy skórze ścięty” drga niespokojnie, gdy jego właściciel zwietrzy jakieś nie znane mu cymelia. Reszta towarzystwa w ilości sześciu osób, wliczywszy w to gospodarza, pochłonięta coraz bardziej gwałtowną dyskusją, podniecaną nieprawdopodobną ilością wypijanej litrami czarnej kawy, nie zwraca uwagi na okrzyki zachwyty starszego towarzysza, na jego znad książki wezwania:

— Posłuchajcie, przecież to piękne! „Gdyby róże i kłosa pszeniczne posiadały skrzydła, odlatywałyby na nasz widok w popłochu, jak odlatują ptaki”.

Jest piąty dzień stycznia 1935 roku, godzina już piąta nad ranem. Sine kłaczki wypuszczanego z ust dymu rozplývają się w gęstym tumanie tytoniowej spaleniżny, bulgoce woda w żelaznym saganku

na nową porcję kawy, skwierczy niebieskawy płomyk spirytusowej maszynki, do lichtarzy siedemnastowiecznego świecznika, ściekają strużki stearyny, „na stole — sterty broszur, książek, atlasów, tek; jest i globus”. Wokół stołu — oni: autor „Zmór”, Zdzisław, Józef, Władysław, Wincenty i Franciszek.

Autor w „Scenie aktualnej” z „Pokoju dziecinnego” przedstawia nam swoich przyjaciół plastycznie i wyczerpująco: posłuchajmy, co mówi o nich przy prezentacji: — Panie i panowie pozwolą: ten zażywny, ocieężały młodzieniec (twarz nieco nalana i ziemista) o ruchach powolnych, cedzący słowa przez zęby niechętnie i ospale — to Zdzisław, matematyk, nauczyciel gimnazjalny i poeta, lat trzydzieści dwa; ten drugi, o wysokim nieco rozsadzonym czole, zupełnie niepotrzebnie łysiejący młodzieniec, to Józef — społecznik, lewicowiec, radykał, pracujący w związkach młodzieży ludowej, też poeta, lat dwadzieścia pięć; a ten rumiany jak panienka, w mandaryńskich okularach, wściekły brunet, z lokiem na czole to — hm, czy ja wiem, czym on jest? — krytyk, filozof, poeta — coś w tym rodzaju, lat dwadzieścia cztery, dużo umie i dużo wie, imię — Władysław; a teraz ten tu mały, aż za mały — twarz trochę chłopska, trochę mongolska, szerokie kości policzkowe, szyja od uszu do ramion równa, walcowata, blondyn, oczy żywe i dociekliwe, powieki grube, podnosi brwi, gdy mówi, również wtedy pokazuje zęby, siekacze wybitnie dłuższe od reszty zębów, ostre, spiczaste, lat — najpierw to, że rzeźbiarz, bardzo zdolny, z powodu małego wzrostu rzeźbił kolosalne głowy — lat ma dwadzieścia osiem, imię Wincenty (jak Kadłubek); z młodych jeszcze Franciszek, malarz i rzeźbiarz, kolorysta, pociąg do groteski i tak zwanych śliskich tematów, szczupły, wysoki, cera ciemna, brwi olbrzymie czarne, czupryna gęsta, sypka, loczasta, czarna jak północ na nowiu — lat dwadzieścia dwa, smarkacz.

Ten „smarkacz” i ci wszyscy młodzi artyści, społecznicy, poeci — wzięci z życia, z bliskiego otoczenia Emila (choć Zegadłowicz nie ujawnił w utworze ich nazwisk), nie byli trudni do odgadnięcia. Rozszyfrował mi ich bez trudu Jan Kuglin, potwierdził to Edward Kozikowski. A więc Józef — to Stożek, chłopski radykał, ten sam, który z „ponurą namiętnością” piętnował zarówno dawną pańszczyznę, „psie figle i nonsensy szlachty”, jak i współczesną literaturę „z neomieszczańską awangardą psu na budę zdatną”, niepowściągliwie nacierał na „bałamutne tak zwane fronty do wsi”, wyrzucając z siebie na jednym wzburzonym oddechu race gniewu — na przymus służby wojskowej, glinianą mocarstwowość, militaryzowanie młodzieży, „legendki wojenkowe”, na ludzi odpowiedzialnych za blade, wynędzniałe, bez uśmiechu twarze chłopskich dzieci. Władysław — to Studencki, krytyk literacki. Zdzisław — prawdopodobnie pod tym imieniem autor ukrył pedagoga Kazimierza Forysia, a z kolei Franciszek — to istotnie Franciszek Suknarowski. Rzeźbiarz Wincenty zwał się Bałys (w początkach okupacji został rozstrzelany przez wroga). I w tym gronie akolitów — autor: Emil Zegadłowicz, der Meister, lektor kończonych akurat wtedy „Zmór”. Stąd i ten pokój jest nie tylko pełen zapachu dymu i kawy, ale i „pogłosów przeczytanej książki (rękopis gruby w pomarańczowej okładce) i rozbiegłych, nie skoordynowanych myśli”. On, twórca, pewnego rodzaju jeszcze „rozdwojeniec”. Myślą — anarchista („morzem krwi zalać bezecność świata”), a sercem — łaknący harmonii, wszechmiłowania. Jego konkretne: „precz z formą bytowania opartą na wyzysku, niewoli i pysze”, sąsiaduje z ogólnikowym pouczeniem: „trzeba tęsknić do ludzi dobrych, samolecznictwem — tworzenie indywidualne”. Nastrojowiec, poeta, a „poeta nie liczy się z niczym; ma swój kodeks; swoje i niczyje straty, jest dłużnikiem i wierzycielem zarazem — ma swój budżet, swoje pokrycie — i — do diaska! twarde, bolesne doświadczenie: własny tragizm i opętanie! I tym jest reprezentatywny! We wszystkim: we współżyciu, w radykalizmie, w nielojalności, w aspołeczności, w pogardzie dla ustalonych form życia zbiorowego i osobowego: człowiek niewyrozumiały, szukający ratunku w samolubstwie”.

W „Pokoju dziecinnym” jest fragment zatytułowany „Wielka Improwizacja”; psychodramowy atak, gwałtowny i gniewny, obsesyjny i obsceniczny zarazem, ujawniający obolałości, kompleksy, rzeczy i sprawy do nienawidzenia. A zarazem są to słowa mające ranić Maryłę — „żonę wojownika”, za jej sny „o potędze, o państwie, mocarstwie”, za jakiś „bloku zew”, za „P.W. i W.P.”, za widzenie przyszłości w kolorach tęczy, gdy tymczasem on, „producent wizji”, katastroficznym spojrzeniem obejmował granice państw, złowroźnie widział „rude ściany z odpadłym tynkiem, podziurawione

kulami, poplamione zakrzepłą krwią oraz krzyże swastyczne...".

Kochał jeszcze Balbinę—Marię, więc atakował z pasją i namiętą chęcią, aby ze wszystkim przeszła na jego barykady, aby umocnić może i podtrzymać także samego obrońcę. Nie był bowiem stale i jednolicie silny, przechodził od euforii zdolnej poruszyć świat do totalnego znużenia, od radości do depresji, od wiary do zwątpienia.

Maria nie potrafiła sprostać w pełni podświadomym pragnieniom człowieka o tego typu psychicznej konstrukcji. Emil nie znajdował w niej ani potwierdzenia, ani umocnienia myśli, którym — czuł — należałoby już dać wreszcie ostateczny, nie mgławicowy kształt. W pragnieniu uległości kobiecie, miłosego poddania, uwielbienia nawet, krył równocześnie potrzebę ulegania jej autorytetowi. I znalazł taką partnerkę już wkrótce, która zanim osobiście poznała poetę — a stało się to w początku 1938 roku — w „Sygnałach” wychodzących we Lwowie, obsypywała Zegadłowicza słowami pełnymi zachwyty dla jego twórczości. Zwała się leż Maria: Maria Szolańska — Koszyc.

Jan Kuglin, który „Wrzosa” dla Maryli i „Pokój dziecinny” dla potomnych składał pieczołowicie, z autentyczną troską, literka po literce, tak skwitował w jednym z listów do mnie tę nową i ostatnią już w życiu Emila — miłość.

Przez wiele miesięcy składałem i drukowałem te „Wrzosa”, chcąc uczcić w ten sposób najgłębszą, jak mnie Emil zapewniał, miłość przyjaciela. A przyjaciel, gdy mu weszła w drogę inna „Miłość”, mój serdeczny trud wrzucił do gorzeńskiego lamusa. (...) Potem z rezerwą już przyjmowałem wynurzenia Emila o nowej miłości, najgłębszej, pierwszej i ostatniej, o największym zdarzeniu życia — o nowej Marii, zwanej czasami Elą.

Maria Koszyc, osoba o silnej indywidualności, zdecydowanie określona ideowo, bliska orientacją jego nowym antyfaszystowskim przyjaciołom, młoda jeszcze i atrakcyjna, ale przy tym i dość zaborcza, co nie wykluczało bezpamiętnego uwielbienia, oddania się wybranemu mężczyźnie, schlebiana mu, miała wszelkie atrybuty na partnerkę — w szerokim tego słowa znaczeniu — dla tego typu mężczyzny, słabego człowieka, jakim był Zegadłowicz. Taka osoba była zdolna przywiązać do siebie silnie i na długo.

### Wśród żywołów

„Natura migotliwa, jak elektryczność przerzucona na powierzchnię, zawsze nie ze swoją osią krystalizacyjną” — tak widział Emila Zegadłowicza — Adam Grzymała Siedlecki.

Na ten grunt już przeorany myślami, acz z kalejdoskopowym klimatem nastrojów, weszła nowa Maria. Prawdopodobnie ta kobieta, jeszcze intensywniej umiała skryzalizować to, co narastało w nim zresztą już wcześniej, przed jej poznaniem, co uwidaczniało w wypowiedziach, wystąpieniach i utworach; ostro brzmiał jego protest na wieść o małopolskich chłopskich strajkach w sztuce pt.

„Wasz korespondent donosi” (jedeny rękopis tego dramatu został zagubiony jeszcze przed wojną przez Stefana Jaracza). W „Motorach” ukazał obraz ewolucji duchowej Cypriana Fałna — porte parole autora, a zarazem i jego obsesyjnych marzeń, analiz podświadomości, sennych przeżyć. Zadeklarował się jako jeden z grona tych lewicowych, rewolucyjnych pisarzy, biorących udział w Kongresie Pracowników Kultury we Lwowie. I razem z nimi wówczas wznosił pieśń do góry śpiewając „Międzynarodówkę” i „Czerwony Sztandar”.

Potem, już po opuszczeniu sali obrad, na wieczorne autorskim, odczytując fragmenty „Zmór” był przyjęty przez słuchaczy — sympatyków z podobnym entuzjazmem jak Władysław Broniewski recytujący „Zagłębie Dąbrowskie” i „Elegię na śmierć Ludwika Waryńskiego”, jak Anna Kowalska, Kruczkowski czy Wanda Wasilewska z rękopisem swej „Ojczyzny” w ręku.

Toteż wiele słów poświęcił mu Broniewski w „Wiadomościach Literackich” w sprawozdaniu ze zjazdu, podkreślając, jaką to „Rewelacją dla wszystkich było przemówienie Zegadłowicza, którego jeszcze nie tak dawno znaliśmy jako pisarza pogrążonego w pewnego rodzaju regionalnym mistycyzmie. Zegadłowicz w mocnym, przetykanym iskrami ironii referacie scharakteryzował stosunek współczesnego pisarza polskiego, solidaryzującego się z ideałami mas pracujących, do polskiej spuścizny literackiej, przeciwstawiając się wielu szablonom tradycji szowinistycznej i bigoteryjnej. W rezultacie dał wyraz zdecydowanej solidarności z ideałami socjalizmu i

niedwuznacznie stanął na stanowisku pisarza rewolucyjnego".

Tam, we Lwowie, bez wahań i rozterek Emil Zegadłowicz głosował za rezolucją, w której stwierdzono, że „najgroźniejszym wrogiem kultury w dobie współczesnej, średniowiecznym barbarzyńcą, cofającym wstecz o setki lat zdobycze cywilizacji, palącym na stosach dzieła największych myślicieli, miażdżącym myśl i godność ludzką w murach więzień i obozów koncentracyjnych jest faszyzm. Zebrani przedstawiciele kultury postanawiają na wzór najwybitniejszych myślicieli i intelektualistów świata podjąć zdecydowaną walkę z całym reżymem faszystowskim we wszystkich odmianach i przeciwstawić niszczycielskiej inwazji faszyzmu zorganizowane i silne kadry antyfaszystowskich obrońców kultury oraz położyć trwałe podwaliny pod budowę potężnej, niezależnej, antyfaszystowskiej twórczości kulturalnej".

Czuł się w gronie tych pisarzy i artystów — nie rozdwojony, silny, wiedzący, z kim i jaką iść drogą. Oni — wierzył w to — dadzą wreszcie jego gniewnym, luźno rzucanym dotąd myślom uzasadnienie i klarowność programu. Razem z nimi, ludźmi postępu i jutra, stoi oto w jednym froncie przeciw krzywdom, dąży w jednym szeregu tam (jak pisał w „Słowach bez przydziału"), „gdzie jest człowiek wolny, gdzie jest walka o wyrównanie sprawiedliwości, gdzie jest zwrotnica historii, na tej drodze, którą zdąża robotnik i chłop. Przekonania moje są wyraźne i niedwuznaczne: jestem po stronie frontu pokoju i pracy — przeciw reakcji i nierówności. Komunista? — zapewne; lecz i anarchista z tą jedną subordynacją wobec geniusza ludzkiej myśli, wobec heroizmu, drażenia otaczających nas mroków światłem wiedzy".

W świątkami na piętrze gorzeńskiego dworu wśród krzyży, fraszobliwych Chrystusików, świętych Pańskich, ołtarzyków drewnianych, skrzydlatych aniołów ze zwycięskimi mieczami w białych dłoniach, znalazł swe miejsce właściciel tych rzeźb — poeta Emil, wydobyty z tworzywa dłutem przez Wincentego Bałysa.

W bibliotece, gdzie za oknami rozkwitły akurat magnolie, we wspomnieniach bliskich mu ludzi — pojawi się on sam. Oto nadchodzi już od strony ogrodu, nie spiesząc się, w ręku dzierży laskę o kościanej gałce, która służy raczej jego fantazji niż potrzebie, koszulę ma rozpiętą na piersi, rękawy podciągnięte za łokcie. Jest parno, wilgotny upał. Za chwilę poeta zanurzy się w mrok i chłód sieni, aby stromizną schodów wejść do bibliotecznego pokoju. Tam otoczą go nie tylko książki, ale i obrazy — Wyczółkowskiego, Ludwika Misky'ego, Vlastimila Hoffmana, Stanisławskiego, Krzyżanowskiego, Hulewicza, Mariana Ruzamskiego. Do drzwi zapuka częsty gość — świątkarz, rzeźbiarz ludowy Jędrzej Wowro z Gorzenia Dolnego, odziany byle jak, z wiechciami ogromnych wąsów — i słowami „Psia sierść" zacznie opowieść o wilgotnym drewnie, z którego ani rusz nie może wystrugać Marii Magdaleny. Albo pojawi się buchalteryjnym raportem zaaferowany Józef Stożek, „w mieszkaniu" tu i próbujący bezskutecznie pomóc gospodarce gorzeńskiej sporadycznymi wysiłkami: sadzeniem ziemniaków, szczepieniem drzew, koszeniem traw, zapisywaniem wpływów i wydatków; te ostatnie tworzyły o wiele dłuższe kolumny cyfr.

I tu, w bibliotece, wieczorami, przy ciemnobrazowej jak kawa, aromatycznej herbacie, zasiądą wśród starych mebli przy stoliku z czarnego dębu nowi przyjaciele, wielodniowi często goście: „Marianek" Kubicki z „Dziennika Popularnego", niski, o nieco kwadratowej budowie, Wanda Wasilewska, szczupła i tak wysoka, że na noclegu z trudem mieściła się w gorzeńskich łóżkach, poważny, niełatwo zapalający się w rozmowach, wewnętrznie skupiony Kruczkowski oraz młodzieńki adept „oddelegowany" do segregowania stosów listów, porządkowania rękopisów — Andrzej Piwowarczyk.

Do późnej nocy trwają rozmowy. Nie zawsze jednomyślne są spojrzenia na pewne sprawy, często różne sposoby na rozwiązywanie palących zagadnień. Czasem poeta, uniesiony kaszowiejskim wichrem, zabrnę w mgławicowe nieco obszary i oderwawszy się od konkretów tej ziemi zawoła: „Citoyens! Jest źle! (...). W atmosferze duszących zakłamań wichrem słów rozwijać chmury i tym zdobytym skrawkiem błękitu oświecającym daleką epokę pozaojczyźnianą, pozapaństwową, pozareligijną — radować najlepszych".

Na pożegnanie wpiszą się gospodarzowi do oprawnej w skórę „Księgi gości". Znajdą się tam w niektórych wypowiedziach echa wieczornych dysput. „W dżungli głupoty i łajdactwa, zwanej mieszczkańskim społeczeństwem, trzeba mieć mocną głowę i dużo sił wewnętrznych, aby się



indywidualnie opierać śmiertelnemu zaduchowi tego, bądź co bądź potężnego jeszcze materialnie, świata przemocy i nikczemności. (...) Z napisanych w Gorzeniu Górnym kart nowej powieści wybrał i wpisał Emilowi Zegadłowiczowi z wyrazami szczerzej przyjaźni. Leon Kruczkowski. Gorzeń Górny 22, sierpnia 1936."

### Przed burzą

Jest już 1938 rok. Maryla z dziećmi nie mieszka już; w Krakowie, lecz w jednej z miejscowości Zagłębia Dąbrowskiego. Przy domu jest duży park, panuje spokój, cisza. Gdy przed kilku miesiącami dowiedziała się nie bezpośrednio od Zegadłowicza, lecz od osób postronnych, o nowej, jedynej i ostatniej — jak sam głosił — miłości, o „największym zdarzeniu” jego życia, czyli o Marii Koszyc, nie żądała wyjaśnień, nie podejmowała rozmów. Zresztą te rozmowy i spotkania były już ostatnio coraz rzadsze, zastępowały je krótkie jak telegramy listy od poety wymijająco meldujące, że brak czasu, orka pracy straszliwa, rozpaczliwe samopoczucie, kiepski stan zdrowia... Czują intuicyjnie, że nie są to główne przyczyny jego przedłużającej się nieobecności i że nie ma odwagi powiedzieć wprost prawdy o istotnych powodach zaniedbań. Niejasne przypuszczenia ukonkretniły się w relacji jednego z przyjaciół poety, człowieka wielce życzliwego Maryli, ceniącego jej takt, dobroć, bezinteresowność, a niechętnego pani Koszyc, zbyt — jego zdaniem — autorytatywnej, szorstkiej, pewnej swego potężnego wpływu, nie tylko natury seksualnej, na Emila. Otoczony teraz jej agresywną opieką, oszołomiony niewyczerpaną energią organizowania mu zajęć, nie buntował się przeciw tej kurateli, godząc się nawet na nową rolę w życiu: prelegenta, choć nie znosił organicznie, schorowany już wtedy zresztą i słaby, odczytów, wystąpień i męczących podróży na przełaj przez kraj. I zdecydował się na poślubienie swej Muzy w Płocku u Mariawitów.

Maryla odsunęła się więc bez próby walki i ku swemu nawet zaskoczeniu bez dotkliwej rozpacz, a za to z uczuciem współczucia dla Emila. Ona najlepiej wiedziała, ile w nowych fascynacjach poety kryło się skrajnie biegunowych nastrojów, udręk, ile zmagania wewnętrznych, potwierdzeń, to znów zaprzeczeń — siebie. A poza tym była mu wdzięczna za to wszystko, co jej dał przez te krótkie lata miłości, za to często nawet brutalne wciąganie jej na różne punkty obserwacyjne, z których mogła ujrzeć już nie tylko pogodę błękitów, ale i szarżyznę nędzy, purpurę gniewu, ciemne groźne chmury wieszczące burzę. Pierwsze miesiące po rozstaniu wypełniła pracą, i to nie tylko tą domową, związaną z wychowywaniem dzieci, ale i twórczą. Dużo malowała, próbowała pisać, nawiązała kontakt z katowicką Rozgłośnią Polskiego Radia, wysyłając tam swoje utwory, słuchowiska dla młodzieży. Sięgając do własnego dzieciństwa, jako Halina Zaleska napisała wspomnienia.

Przychodziły do niej listy od przyjaciół.

Szczególną radość sprawiały jej kartki gęsto zapisane przez profesora z sosnowieckiego gimnazjum im. Staszica — Witolda Wyspiańskiego, ideowego lewicowca, który pisał jej nie tylko o literaturze, o poezji, o swoim rodzonym stryju — Stanisławie Wyspiańskim, ale i w sposób porywający o sprawach społecznych, politycznych, nabrzmiewających problemach otaczającej rzeczywistości, o groźbie faszystacji. Po zegadłowiczowskiej edukacji mogła już teraz po partnersku sprostać poruszonym w listach profesora zagadnieniom. Kiedyś poprosił ją: „Niech pani napisze kilka słów do Emila Zegadłowicza. Słyszałem, że nie czuje się zbyt dobrze ze zdrowiem, a do tego jeszcze te typowe u niego psychiczne depresje. Ktoś mi mówił, że męczą go wyrzuty sumienia w stosunku do pani; myślę, że uspokoiłaby go jakaś rozmowa z panią, list...”

Napisała, ale na dwa jej listy nie było zrazu odpowiedzi. Dopiero październik przyniósł kopertę z Gorzenia. Oto jej zawartość, tak typowa w swej treści i tonie dla zegadłowiczowskich nastrojów ducha:

16 października 1938 r. Gorzeń Górny

Marylko —

— wiesz, musisz wiedzieć, że nie mogłem wtedy 15-go sierpnia być w Katowicach — bowiem nie było mnie w Gorzeniu - a w ogóle listy Twe otrzymałem około połowy września - nie pisałem również do Ciebie — co chyba dla mnie najcięższe — bo byłem w sytuacji psychicznie zupełnie potwornej i makabrycznej — musisz, Marylko, na razie przyjąć takie tylko moje skąpe wytłumaczenie — nie stać mnie na inne — może przecież opowiem Ci to kiedyś — o ile zechcesz,

o i li uszy Twoje zechcą mnie wysłuchać —

— cały — prawie bez reszty — okres ten spędziłem na samotnym rozstrzygnięciu o wartości życia i jego zjawisk — w ogóle — był to zapewne najcięższy (no, na pewno potworny!) okres w mem tragicznym istnieniu —

— nie wolno mi nic mówić — o mojem, Marylko, uczuciu do Ciebie — nie doszedłem do ładu z sobą — to bardzo ciężkie! — lecz to jedno tutaj: zbliżająca się rocznica jest dla mnie tak świeża, jak była zawsze — i jaka może przecież jeszcze jest dla Ciebie (— Małeńka!!!) —

Ślę poezje wszystkie, a Noaka co tylko mam (to — niestety — w opóźnieniu — bo dopiero dzisiaj dowiedziałem się o tem) — w Gorzeniu mi za ciężko bytować, poprzedni czas spędziłem w Otwocku — obecnie — po załatwieniu kilku interesów — wracam (we wtorek) do Tarnobrzega — o ile uznasz, że możesz, że — z przyczyn zgoła irracjonalnych wart jestem kilku słów od Ciebie — proszę: adresuj: M. Ruzamski, Tarnobrzeg — Kościuszki 8 — dla E. Zeg. — to będzie tyle na dzisiaj — jestem głęboko wstrząśnięty tym momentem pisania do Ciebie — wstrząśnięty i wzruszony!! Proszę — chciej to wiedzieć!

Chodziłem dzisiaj po złotych, zeschniętych, szeleszczących liściach — przy ścieżce rosła koniczyna — zerwałem dwa kwiaty — jeden Ci ślę — niechże będzie chociaż bladym cieniem owej róży, którą przechowują jako talizman najszcześliwszego bytu —

— ręce Twe, Marylko, całuję — całuję Twe ręce! Mil

Był przygnębiony zapewne nie tylko roztrząsaniem swoich zawikłanych spraw osobistych, brakiem pieniędzy, nie tylko owym samotnym rozstrzygnięciem o wartości życia, ale i głęboko przybity utrudnieniami władz w jego akcji odczytowej, ogólną polityczną sytuacją.

W listach do prawowitej małżonki — Marii Zegadłowiczowej, płynących obficie do Gorzenia ze wszystkich miejsc odczytowego wspólnego z Marią Koszyc wojażu w jednym tylko miesiącu: marcu 1939 roku, dużo znajdziemy uwag na te tematy:

Jestem w tej chwili bezsilny — zakazy odczytów w wielu miastach były finansowo katastrofalne (...) Sytuacja najpodlejsza w świecie! — Ledwo tu zipię, jeszcze mam przed sobą pięć albo sześć odczytów — znikąd nie mogę doczekać się pieniędzy — poza tym zżera mnie — nostalgia i brak pracy (...)

W polityce zaszły straszne rzeczy — rozbiór i zagrabienie Czech przez Niemców przeraża! — Mówi się o zmianie rządu - o dymisji Becka — ile w tym prawdy, trudno dociec. Cała Europa podminowana — jest ciężej, niż było w 1914! (...)

Z odczytami kalaputryna okropna! W Rzeszowie, Jarosławiu, Lwowie, Stanisławowie odczyty nie odbyły się! Jak i co było, opowiem ustnie — ze Lwowa uszedłem z życiem — te wszystko (kilka godzin spędziłem u Bartla tuż po zamachu na niego: trzy bomby!). Wojna, rewolucja wiszą na włosku (...).

„Kiepsko, źle, rozpaczliwie... bardzo tęskno i opuszczenie, samopoczucie pod psem...” — wiele takich określeń ówczesnych nastrojów poety-prelegenta, rozsianych jest w jego korespondencji. Poza tym choroba sygnalizowała swą obecność coraz częstszymi bólami. Ale mimo to pragnął tych odczytów, i to nie tylko, aby spłacić dług wydawcy z Wadowic za skonfiskowane „Motory”, ale i dla możliwości spotkań z lewicową młodzieżą, wygłaszania alarmistycznych słów o grozie faszyzmu, o wojnie — straszliwej zbrodni nad ludzkością.

Pierwsze odczyty miał na Śląsku; tam był początek prelegenckiej podróży. Dąbrowa Górnicza, Sosnowiec, Katowice, Będzin, potem kierunek — na Lwów via Rzeszów, Przemyśl, Drohobycz; w tym naftowym miasteczku spędził kilka godzin na rozmowie z autorem „Sklepów cynamonowych” — Brunonem Schultzem. Krótki postój, krótki wypoczynek, a potem następne punkty na mapie innych regionów: Kalisz, Łódź. Wreszcie — Warszawa, duża sala przy ulicy Karowej, gdzie wśród licznie zgromadzonych słuchaczy dało się zauważyć panie z tzw. wyższego towarzystwa, emanujące niezdrową ciekawością; zapewne przybyły tu nie w celu wysłuchania protestów przeciw dławieniu wolnego słowa, wyzyskowi robotnika, nędzy chłopskiej, ale aby ujrzeć tego sławnego panseksualistę, który napisał skandalizujące „Motory”.

Na całej trasie odczytowej akcji bywało różnie, i to nie tylko z samopoczuciem poety, ale i z publicznością. Gorące oklaski bywały zagłuszane obraźliwymi okrzykami: „Precz! Warchoł!

Pachołek!" Entuzjazm musiał niekiedy ustępować miejsca — napastliwemu oburzeniu. Niepokój, napięcie; pepeesowcy odgradzający prelegenta ciasnym szpalerem od przeciwnych mu, niechętnych młodych narodowców, gęstniejące dla „porządku” i bezpieczeństwa publicznego — granatowe mundury na ulicy i przed wejściem do sal. A na sali, już bez porządku, pociski jaj nierzadko wyrzucane w kierunku mówcy. Te huśtawki emocji, różnorakie klimaty, nie mogły pozostać bez wpływu na wrażliwą naturę poety, choć Maria Koszyc, jak troskliwa kwoka o silnych skrzydłach, próbowała osłaniać słabego ciałem i psychiczną konstrukcją bohatera tej niebezpiecznej eskapady.

### Niebo w mroku

Wybuch wojny zastał Marylę i jej najbliższych z rodziny niedaleko Sosnowca. Wkroczenie Niemców, pierwsze akty terroru, niepewność co do dalszych losów nie załamały wątłej kobiety. Przeciwnie, zrodziły w niej szybko chęć jakiegoś odporu w stosunku do wroga. Fantazja podsuwała różne pomysły walki, konspiracji: pozostać na miejscu, gromadzić broń, uczyć młodzież potajemnie, przez ukrytą radiostację słać światu meldunki o sytuacji; a może przedrzeć się przez kordon i tam, za granicą, przez te kilka zapewne miesięcy wojennych służyć ojczyźnie na innych frontach.

W domu rodziców Marii, leżącym na uboczu od głównych traktów, odwiedzali ją dawni przyjaciele, niektórzy nawet jeszcze z lat dzieciństwa. Różne wieści, ogromniejąc po drodze, szły pantoflową, ustną pocztą. Przewalały się nad głowami zmienne informacje, niepewne, często nieprawdziwe, doniesienia o losach znajomych gdzieś ze szlaków ucieczek. Czasami, ktoś ponoć zabity w obecności tzw. naocznego świadka, pojawiał się po tułaczce zdrowy i cały na domowym progu, częściej jednak zdarzało się, że ten widziany wczoraj na pewno tu i tu leżał już od tygodni w bezimiennej mogile. Bez wątpliwości pozostawały jedynie informacje o losach zakładników, przypieczone straszliwymi w swej wymowie obwieszczeniami urzędowymi na murze o śmierci ofiar.

W tym okresie z pobliskiego Sosnowca przyjeżdżał w odwiedziny do Maryli i jej bliskich profesor Witold Wyspiański. Była to przedwojenna jeszcze towarzyska znajomość z adresatką zegadłowiczowskich „Wrzosów”, oparta na interesujących rozmowach, intelektualnym porozumieniu. Teraz w warunkach tak niecodziennych, w stanie ciągłego zagrożenia, przerodziła się ona w uczucie głębsze, w pragnienie opiekowania się jedno drugim, połączenia się w rodzinę (Wyspiański był wdowcem), w oparcie o partnera godnego miłości, szacunku, na którego liczyć można w najcięższych godzinach. Maryla i Witold Wyspiański spełniali te psychiczne wymogi. To o nim pisał przecież w liście Emil: „Zaznajomiliśmy się z Wyspiańskim — fajny chłop, inteligentny bardzo, pełen artystycznych uzdolnień i wyczuwań”.

Na wiosnę, w maju 1940 roku, Witold włożył na palec Maryli zaręczynowy pierścienek. Termin ślubu — 10 sierpnia tegoż roku. Witold, rzeczowy, opiekuńczy, odważny, ale i rozważny, miał już teraz dodatkowe prawo do wyrażania pewnych swoich obaw na temat nieostrożności Maryli. Te urządzone wieczory patriotycznej poezji, koncerty po różnych domach, Chopin, jakieś szkolenia, gazetki ręcznie przepisywane, kontakty konspiracyjne. Sam zaangażowany w poważną pracę z młodzieżą, uważał, że każdy rozmówca, dyskutant, każdy taki znajomy znajomych — musi być ściśle sprawdzony, każda akcja, także i artystyczno-kulturalna — zakonspirowana, w zaufanym gronie. Ale na wszystkie i wagi Maryla miała dziesiątki argumentów. Była taka przejęta, pewna swych racji i pełna ufności do ludzi. Narzeczony dał więc na razie spokój z przekonywaniem, ciesząc się, że oto zbliża się dzień ślubu, zamieszkają razem, z dziećmi, i razem już będą ustalać plany dnia, pracy. I wspólnych będą mieć wtedy znajomych. Jeszcze tydzień do tej uroczystości, cały dom przejęty, popielaty kostiumik i biała bluzeczka wiszą już w szafie, zamówiona jest przez pana Witolda u znajomego ogrodnika ślubna wiązanka kremowych róż. Jeszcze sześć dni, pięć. Przychodzi wieczór 5 sierpnia...

Późną nocą z 5 na 6 sierpnia zbudziło domowników ze snu walenie do drzwi i niemieckie: „Otwierać!” Czterech przyszło po Marylę. Nie zdążyła zabrać nic cieplejszego do okrycia. Rozpaczącej matce, ojcu, płaczącym dzieciom przesyła jeszcze, odwracając się od progu, ostatni nikły uśmiech i słowa: „Nie martwcie się, na pewno do Was już wkrótce powrócę”. I taki ostatni

swój obraz zostawiła im w pamięci.

Zrazu przewieziono ją, wątłą, skłoną do chorób płucnych, do więzienia w Sosnowcu, potem zmieniono je na wilgotną, ciemną, do ostatniego metra zapchaną współwięźniarkami celę w Częstochowie. Przychodziły stamtąd grypsy... Sosnowiecki i częstochowski przystanek na jej męczeńskiej drodze do Ravensbruck trwał bez mała półtora roku: od sierpnia — miesiąca aresztowania — 1940 roku do grudnia 1941.

W tym samym czasie, gdy w październiku 1940 roku wywożono Marię pod eskortą z sosnowieckich przesłuchań do częstochowskiego więzienia, Emil Zegadłowicz, bardzo już cierpiący, przybył do Sosnowca. Ostateczne rozpoznanie gnębiącej go choroby: lymphosarcoma (rak limfatycznych gruczołów).

Szpital w dzielnicy zwanej Pekinem. Operują go tam polscy lekarze, dając cię nadziei na powrót do zdrowia, do domu. Mimo „całej mizerackiej aury”, jaką odczuwał w okupowanym Gorzeniu, o niczym innym teraz nie marzył jak o powrocie tam właśnie. Jeszcze niedawno, przy ulubionym biurku, pod ostrzałem najść Niemców, komisji spisujących zbiory, udawało mu się dużo pisać. I kończyć rozpoczęte utwory. Już na wiosnę 1940 r. zbudował „Domek z kart”. W sierpniu tegoż roku donosił jednej ze swoich korespondentek, że gotowy jest przekład „Aurelii” Nerval’a, dodając, iż „może i kłopotliwie nieco przedrzeć się przez «Aurelię» — lecz warto — bardzo warto! — Nowe naświetlenie «geniusza i obłąkania»”.

Ale i w Sosnowcu, gdy tylko opuścił szpital i dla rekonwalescencji, połączonej z trudem chodzenia na naświetlania rentgenem, zamieszkał prywatnie, tworzył jak w transie. Gorączkowo i w pośpiechu, jakby czuł, że już wkrótce odejdzie ze świata żyjących, a tyle ma jeszcze do przekazania. Tyle pomysłów, tyle myśli, tyle przewidywań. I tyle rzeczy rozpoczętych, dzieł obcych twórców — nie przeczytanych, nie przetłumaczonych.

Pisze dziennik, wiersze, sięga po formę poetyckiej prozy; poematowi da tytuł „Dziewczyna”. Pieśń o Hajawacie — legendarnym indiańskim wodzu, pióra dziewiętnastowiecznego amerykańskiego poety H.W. Longfellowa przyobleka w piękne polskie tłumaczenie.

W mieszkaniu przy ulicy Mariackiej, przemianowanej teraz na Blumenstrasse, pod numerem czwartym przebywał u państwa Maziarskich od dnia 23 listopada. Nie odstępowała go tam Maria Koszyc — oddana mu teraz troskliwa pielęgniarka, pierwsza czytelniczka jego z coraz większym trudem zapisywanych kartek papieru, lektorka listów z Gorzenia, przesiewająca z umiarem hiobowe stamtąd wieści, słane przez Leonarda Ozolsa.

We wspomnieniu Moniki Warneńskiej, która wówczas odwiedzała pokój przy Blumenstrasse, zachował się obraz wczesnych wieczorów spędzanych u poety, zanim wybiła policyjna godzina, w gronie życzliwych Zegadłowiczowi ludzi. Wśród nich było kilku młodych interesujących się poezją i „myślą demokratyczną, kształtem przyszłego społeczeństwa nowej Polski” uczniów z sosnowieckiego gimnazjum im. Staszica, słuchaczy profesora Witolda Wyspiańskiego. Poeta, mimo rosnących horobowych uciążliwości, lęków przed coraz to częstszymi atakami duszności, raz po raz pokładający się im kanapie, pozostawał zawsze pełnym młodzieńczego żaru dyskutantem, dowcipnym rozmówcą, czasem dobrodusznie drwiącym, błyszczącym konceptem — oratorem. Nie tylko młodzież gromadziła się przy cienkiej wojennej herbatce organizowanej przez panią Koszyc, nie tylko uczniowie i studenci przysyłali mu listy; także i starsza, postępową inteligencja polska i żydowska otaczała poetę pamięcią i pomocą. Jedna z krakowskich korespondentek już w styczniu 1941 roku znajduje w liście od Zegadłowicza takie zdanie: „Ani pary z ust bym nie wypuścił o tak absurdalnej nijakości, jaką jest pieniądz — gdyby nie to, że go nie masz, że (na szczęście) nie jesteś bogata! — lękam się, że w okresach (tak licznych przecież), w których mi je przysyłasz — żywisz się herbatą i chlebem; piękna rzecz — linia, lecz nie wolno być nazbyt awangardową”.

Każda pomoc materialna jest teraz dla Zegadłowicza sprawą życiową; kryje się za nią możliwość kupienia żywności, lekarstw, opału. Toteż niespodziewaną „kaszą manną z nieba” staje się mleko, cukier, masło, a niekiedy i pieniądze, dostarczane mu przez miejscową gminę żydowską. Może i z rozmów z tymi ludźmi, napiętnowanymi szyderczo przez hitlerowców — gwiazdą Dawida, zrodził się pomysł nowego dramatu pt. „Sind Sie Jude?” w czterech obrazach z prologiem. Każdy z aktów,

pisany ołówkiem w szkolnym zeszycie, ma inną scenerię i czas: I — ukazuje Warszawę sprzed wojny, II — ma miejsce w Częstochowie, III — to już wojna, nalot na jedno z miast Zagłębia, IV — groza zagłady Żydów, ich eksterminacja.

W połowie stycznia stan jego zdrowia pogarsza się o tyle, że lekarze z Pekinu pod pretekstem kilkudniowej tylko obserwacji ładują go do szpitalnego łóżka.

Mijają noce, dni, tygodnie

Mijają lata, lat tysiące.

Nad moim prochem niezawodnie

Grać będą skrzypce wicherzące

Jest to ostatnia zwrotka ostatniego lirycznego wiersza, któremu dał tytuł „Na dzień Skrzypiec”.

W istocie nie myślał w tamtych tygodniach o końcu ziemskiej wędrówki. Jeszcze w drugiej połowie stycznia donosił korespondentce z Krakowa: „Jutro, pojutrze opuszczam to smętne miejsce (...) pracuję nieco — pisze się dramat; (nie o sobie!! nie! — o odłamie nędzy ludzkiej!)”.

19 lutego 1941 roku, pięć dni przed śmiercią, próbuje przekazać autentyczne — jak to określa — sprawozdanie „rzekomych zdarzeń, których niby-ciągłość składa się na mglisty obraz istnienia naszej świadomości w okrucieństwie mikrosekundy czasu i przestrzeni”. Temu u-i worowi, ni to pamiętnikowi, ni gawędzie, nadaje tytuł „Sen”. W tym to „Śnie” (którego fragment szczęśliwie ocalał z wojennych obieży) realne fakty, aktualne refleksje ustępują miejsca „mglistym obrazom bez konturów, bez barw”, z różnych czasów, różnych etapów jego świadomości. I tak koszmar wojny rozplywa się, przychodzą lalami — muzyka i wonie, to znów nękające wizje unicestwienia ciepłe wspomnienie gestu rodzica.

Dla wielu, mniemam, będzie kamieniem obrazu moje traktowanie zjawisk i przejawów świadomości jak snu, maligny, zwidzenia — zwłaszcza dziś, gdy żyje się pod przerażającą grozą sadystów, zbrodniarzy i rozbójników wyhodowanych przez (Hitlera) klinicznego producenta nieszczęść i śmierci. Mówiłem o tym przed niniejszą wojną, zapowiadałem jej grozę — również zapowiedziałem koniec złego obłąkańca: dopiero gdy spełni się jego cień z Niemiec, zobaczą ludzie, czym to było. Ja nie mam powodów rozwozić się tu o tym. Tylko o tej jego „rzeczywistości” — że jest ona złym, koszmarnym, krótkim snem rzeźmieszka, który podstępnie został naczelnikiem sądu — nie ulega kwestii! — Spójrzcie oczami wyobraźni na tę ćwierć strony, którą wypełnią jego „dzieje” w wielkiej historii świata! — czyż nie tak streszcza się złe sny? — Przy czym podkreślić należy jeden jeszcze moment: kariera (Hitlera) zesłała się (to zawsze tak bywa: fala wyrzuca ludzi!) — z silnym zalewem psychopatii na terenie (Rzeszy): stwierdzam to: uczeni to kiedyś sprecyzują! Gdy przymknie oczy i zapadnie w półsen oszołomiony uśmierzającymi środkami, roją mu się barwne obrazy sprzed kilkudziesięciu lat, jawią się postacie ojca, matki i jego — Emila, gdy miał rok niespełna:

Widzę szeroko pleciony kosz (na bieliznę zazwyczaj takich się używa), z którego gramoli się na czworakach chudy dzieciak — płowy, blady, ciemnooki: ja! — W przeszłości widzimy siebie tak samo jak w widzeniach sennych.

Potem już tych obrazów więcej — a przede wszystkim woń i muzyka. A z woni to pierwsze wiosenne dni — pachną globem i słońcem: a z muzyki to wig — wig, wig — wig — zięby i dumki ruskie grane przez ojca na czarnych skrzypcach.

No — bo ojciec!

Od jakichś miesięcy 1889-go roku do 1897-go — do sierpnia tego roku — widzenie senne mego najzwyklejszego życia — przepełnione jest postacią, gestami, słowami, śpiewem i muzyką ojca.

I — kwiatami!

W niedzielę 23 lutego wśród ludzi odwiedzających go w sosnowieckim szpitalu ujrzał Monikę Jelonkiewicz (Warneńską). Autorka wspomnienia o nim pamięta, że wówczas, mimo ciągłych ataków duszności, zdobył się na uśmiech i słowa: „Nie jest źle, nie krzyczcie tak nade mną...” Ale w rzeczywistości było już bardzo źle. Tego samego dnia bezustannie nad nim czuwająca Maria Koszyc napisze list do krakowskiej korespondentki poety — nie znanej mu zresztą osobiście Marii Parafińskiej (przed wojną — nauczycielki z Babie koło Wadowic) i podzieli się z nią niepokojem o Emila i o jego rękopiśmienną spuściznę:

(...) Ostatnio: Około 11 lutego wybierał się do Gorzenia — (już miał „przepustkę”) chciał jechać sam — zamierzał się zatrzymać w hotelu w Wadowicach (no bo „tam było fizycznie niemożliwe: osłabiony był jednak!”). Myślał pobyć tam 4—5 dni - i z powrotem („dalsza”? kuracja!). — No, a stało się całkiem inaczej. Właśnie około 10—11 — wyraźnie się pogorszyło. Ciężko oddychał. (Serce? — Doktor twierdził, że musiał być przerzut nowotwora na płuca!) — i mnie się zdaje, że tak było istotnie — tchu nie mógł złapać — rzeziło w piersiach — i dotąd słyszę: „o jeden oddech błagam — ludzie — ludzie — o jeden oddech błagam” — (o — strasznie!) (...).

Wysłałam (przez znajomego) płaszcz, ubranie, piżamę, kapelusz Mistrza i pewne drobiazgi do Wolbromia — do pana Ambrożego Bińczyckiego — (Wolbrom, Piłsudskiego 43). Może jeszcze co prześlę... Zginie? Uratuje się? — obojętne wreszcie. Grunt: to, co z NIM ZWIĄZANE. Więc: fotografię — jeszcze parę listów (pisanych tu, z Pekinu) — no i **DZIENNIK JEGO** — (o to drzę — taki zeszyt zielony — wysłać ryzyko straszliwe: — no i rękopisy) pisałam, zdaje się: pierwszy rękopis „Hajawathy” — (teraz właśnie zaczęłam przepisywać) i cały (II) rkps... „Domku z kart” — chcę „Domek” dać na maszynie — to konieczne! Ale — czy zdążę — (nie meldowana jestem)...

Dzień następny, poniedziałek, 24 lutego 1941 roku, W zapiskach Marii Koszyc, zwanej przez poetę: Eli, znaleziono krótki, rwany tok relacji z ostatnich godzin życia Emila — Eliczka:

Eliczkowi o g. 8 rano puszczo krew — g. 10 — Eli mówi: wydaj dzieła moje z pietyzmem — staraj się o przekłady i niech Ci dobrze będzie w tym nowym świecie, który — wierzę — (przyjdzie), będzie bez okrucieństwa (...) — spalić mnie na grodzisku, na bierwionach i tam proch замуrować w skałach i napisać: „TEN, KTÓRY CHCIAŁ WSZYSTKO KOCHAĆ I NIE ZAWSZE POTRAFIŁ” — (jak w „Progach”).

„Eli, bądź przy mnie potem”, grodziska widać daleko — „mieszkać w Sosnowcu wśród robotników, będzie ci tu dobrze — z dala od mieszczaństwa” — wykończ „Sind Sie Jude” — opracuj — znów — Eli pyta — „która godzina”, choć upłynął tylko kwadrans — Eli się pyta pielęgniarki „czytała pani co mego — co ?”

— Eliczkowi nie jest źle — ręce i czoło pochudły, usta. sinieją — **ELLI!!!** o ile istnieje problem rasy, to znacznie wyższą rzeczą jest tolerancja, Polsce powiedz, by się uleczyła z faszyzmu, podstawą komunizmu jest miłość bliźniego.

g. 12 — Eli — dostał zastrzyk glukozy — na moment Jego Oblicze rozjaśnił ten jedyny na świecie uśmiech księżycowy.

— „Wiele złego na jednego” — mówi z uśmiechem. (...) Posłano po bańki z tlenem. Synteza jest rzeczą zdrowych. — „Kochankowie bogów umierają młodo, unikajmy być kochankami bogów” — jest, dochodzi g. 2. Eli leży (prawie siedzi) oparty wysoko o poduszki — błądy, przeźroczyście, usta lekko pociemniały — ręce, czoło znaczą pot — rzezi — jęczy głośno — Eli mój!! Wskazujący palec prawej ręki jak zwykle zagięty — wewnątrz. — Przed chwilą ucałowałam — o Eli! — pytam: męczysz się, Eliczku? Ogromnie! Ogromnie! strasznie duszno Jezu! Boże — O Eli — **ODSZEDŁEŚ O 1/2 do 3-EJ 24 LUTEGO 1941 ROKU W SOSNOWCU.** Dziś poniedziałek.

Trzy dni później Zegadłowicza żegnali przyjaciele na małobądzkim cmentarzu, miejscu ostatniego spoczynku między Sosnowcem i Będzinem. Do trumny, gdzie spoczywało ciało poety przykryte czerwonym sztandarem, włożono reprodukcje rysunków Żechowskiego z „Motorów”; upamiętniony był na nich lwowski, robotniczy pogrzeb w 1936 roku Włodzimierza Kozaka. Słowa ostatniego pożegnania wygłosili Witold Wyspiański i Maria Koszyc. Nazajutrz do Marii Parafińskiej na adres: „Królowej Jadwigi 61 Oder 64 Krakau”, popłynęła przez „Deutsche Post Osten” w „Sosnowitz Oberschles” depesza, w której niemiecka urzędniczka zniekształciła nazwisko poety: „Emil Zeyadłowicz pożegnał nas na okrucieństwo wieczności. Marja Koszyc”. Nie zdążył już dojść do rąk zmarłego gryps zaareztowanej przed kilku miesiącami Maryli, na bibułce o wymiarach 45 na 63 milimetrów, wysłany z więzienia w Częstochowie, choć napisała go na dwa miesiące przed śmiercią adresata. Gdyby gryps dotarł na czas, wyczytałby w nim nie tylko lęk, ale i nadzieję na „świt” i radość z przyjaźni, jaka połączyła poetę Emila z jej narzeczoną Witoldem.

## Część trzecia JESZCZE NIE ŚWIT...

Rozmyte słowa

Ten gryps na cienkiej bibułce, wypełniony ciasno kopiowym ołówkowym piśmem, nosi, datę drugiego dnia świąt: 26.XII.1940 roku. Trudno je odczytać. W tle prześwitują jakieś rozmazane firmowe znaki, prawdopodobnie „Herbewo” (była taka bibułka do skręcania tytoniu w papierosy), a w poprzek tych elipsowatych pieczętek — rękopis listu rozpoczynający się od słów: „Drogi Emilu”. Rozmazane kontury liter, liliowe smugi zacieków, niektóre słowa w połowie rozmyte, jakby ta karteczka, obustronnie zapisana, przebyła wodną kąpiel, zanim, spóźniona, trafiła do rąk już nie adresata, lecz jego przyjaciela — profesora Wyspiańskiego. Istotnie, los wędrówki tego grypsu był niezwykajny. Miejsce, skąd wyszedł, było częstochowskim więzieniem; tam, Maryla zaprzyjaźniła się z towarzyszką niedoli, niejaką panią Bronią. Pani Broni, prawdopodobnie już po wyroku, władze więzienne zezwoliły na oddawanie rodzinie bielizny osobistej do prania. Paczki odbierał (chyba był to mąż więźniarki) pan Bolesław Szota. W nich to ukrywano karteczki od Maryli. W listopadowym grypsie Maryla dziękowała mu słowami: „Kochany, najlepszy P. Bolku! Najgorętsze dzięki za Pana wielką dobroć. Ja — istota w czarnym sweterku, która w sobotę dziękowała Panu przez okno. Dzięki Panu moje najdroższe istoty, tj. moje 3 dzieci z 1 małżeństwa, moja stara Matka i mój narzeczony — którzy umierali z rozpacz — dowiedzieli się o mem miejscu pobytu”. Grypsy do Zegadłowicza, do narzeczonego i do rodziny powędrowały tą samą drogą; karteczki zaszywano w obrębkach koszuli. Ale tym razem cienkie bibułki nie dały się wymacać w grubym szwie i uszły uwagi pana Szoty. Dopiero gdy zaczęto prać bieliznę, zauważono niebieskawe smużki barwiące wodę. Po odrzuceniu szwu, wyciągnięto mokre papierki, a wśród nich ten jeden, jeszcze najbardziej czytelny, list do Zegadłowicza:

Drogi Emilu! 26.XII.40

Wiem od W., że jesteś w Sos. wraz z „Maurą”. Nie wiem, czy „Maura” to pani M.K., czy nowy „motor”, lecz życzę Ci wszelkiego dobra. Z całego serca Ci dziękuję za twą serdeczną o mnie troskę. Posyłam Ci piosenkę, którą już śpiewa całe więzienie, ale nikt nie wie, że jest mego układu. Proszę, by ją W. przepisał dla siebie i dla moich dzieci. Czy dostałeś mój maleńki gryps z tamtego więzienia? Już po sprawie i po wyroku, lecz jaki?... B. chwilami się boję... Chciałabym jeszcze trochę pożyć, by doczekać się świtu... I potrzebna jestem memu kochanemu Biedakowi, W. A ty wiesz, że to dla mnie jedyny sens życia: być komuś potrzebną i kochaną. Mam do Ciebie prośbę, byś zatroszczył się o mój egzemplarz „Wrzosów”, który przed wojną, blisko 2 lata temu wysłany był przez Jasnorzewską Mortkowiczowej. Pisałam do Mort. przed rokiem kartkę, zwrócono mi ją z dopiskiem, że adresatka się wyprow. II egz. Bibl. Jag. był w mej sekreterze. Jeśli tamten zginie, ten sobie zatrzymam. Raduję się bardzo waszą przyjaźnią. Serdeczności. Maryla.

Pieśń więzienna na melodię „Jak dobrze nam zdobywać góry”.

Choć więzi nas żelazna krata,  
my się nie skarżym na swój los,  
bo on jest wspólny z losem świata,  
co cały płonie dziś jest stos!

Refren:

Niech zewsząd brzmi  
Wolności śpiew,  
a w żyłach wolna płynie krew!  
Hejże hej, hejże ha,  
niech nie wąpi żaden z nas,  
minie zło, minie zło,  
przyjdzie lepszy, jasny czas.  
My wierzym mocno, że nastanie  
lepszego jutra jasny wschód,  
nastąpi wolnych serc zbratanie,  
wypełni się miłości cud.  
(refren)

Skrwawione miecze i armaty  
przekujem w lemiesz, bronę, pług  
i znowu dla nas wzrosną kwiaty,  
zakwitnie szczęściem każdy próg.  
(refren)

Reszta karteczek — grypsów była prawie nie do odczytania. Cały zwitek znalazł się w rękach profesora Wyspiańskiego, który próbował uratować coś z treści listów. Ale udało mu się, z dużym trudem, o czym donosił w osobnym liście do córek Maryli: „przeczytać tylko początek i niektóre słowa; są to serdeczności, nadzieje, sprawy przesyłek, życzenia. Lepiej ocalały przeznaczone dla mnie, najlepiej przeznaczony dla ś.p. Emila. (...) List dla Emila — zaznaczał profesor — jest chłodno serdeczny, posyła mu pieśń więzienną. I jeszcze jakiś odcyfrowany fragment: „pragnę, abyście się kochali” (dotyczyło to profesora i synka Maryli; Jasia), jakieś rozszyfrowane litery, aby dzieci uczyły się pilnie i poznały dobrze choćby z dwa obce języki.

Z grypsu Maryli do narzeczonego wзира obraz wychudłej, przedwcześnie osiwiałej kobiety, skulonej pod cienkim koczykiem prześwitującym przetarciami, na pryczy w jednej z cel częstochońskiego więzienia. Pod cuchnącym zapachem dezynfekcji burym przykryciem zapełnia ona maczkiem grypsowe papierki. Nie chce poddać się psychicznie całej tej przygnębiającej atmosferze, która oblepia ją zapachami, kapustowatością zup w blaszanych miskach, wilgotnym chłodem, widokiem tych siwych, źle uczesanych i podstrzyżonych współwięźniarek. Niektóre mają błyski niezyczliwości w oczach o szpiegującym spojrzeniu. Broni się przed tym wszystkim i przed sobą samą, tą brzydniejącą tu, starzejącą się, chudnącą, tą wpadającą w depresję, w lęk, w niechęć do niektórych towarzyszek z celi. Próbuje stosować niezawodne dla siebie lekarstwa: myśl o najbliższych; pocieszanie tych słabszych i zrozpaczonych — uśmiechem, słowem, żartem nawet, piosenką, wierszem; wiana w Polskę, która „powstanie i powstać musi niepodległa”; pisanie strof pieśni na znane melodie, nucenie ich przed snem razem z przyjaznymi współwięźniarkami; dbanie o swój wygląd — stąd powtarzające się prośby o dobre mydła, o farbę do włosów. Próbuje tłumić w sobie lęk. Zewnętrznie w ciągu dnia opanowanie opłaca nocnymi koszmarami snu, widziadłami. Przechorowała święta z wysoką gorączką — relacjonuje ówczesny stan więziennej i warunki, w jakich przebywała, Witold Wyspiański — przyczyną był lęk przed wywiezieniem, trwający do stycznia. W początkach grudnia była na rodzaju rozprawy (...), odniosła wrażenie, że wyrok już jest zdecydowany. Do tych obaw dołączyła się przez jakiś czas obawa o mnie, była wprowadzona w błąd, że jestem zaaresztowany, potem oczywiście to wyjaśniło się. Wciąż łudziła, się, że dostaniemy pozwolenie na ślub w więzieniu, dużo pisze o tym. Skarży się na część współtowarzyszek, na ich zawiść, szpiclowanie (o narodzie polski!). Ale miała i wielbicielki, tych więcej. Dużo jest na temat sposobów porozumiewania się, (...) radzi dowiadywać się o wyroku (p. Sieroszewski), (...) dostała słownik franc, uczy się...

List Witolda Wyspiańskiego do córek Maryli, „wujka”, jak go one zwał, jest długi; jeszcze w podwójnym post scriptum dorzuca, jakby i on żegnał się na zawsze: Może to ostatni mój list, w drodze może się coś przytrafić. Gdyby się tak stało, powiedzcie kiedyś Waszej Matce, gdy będzie wolna, że była mi bardzo droga, a zwłaszcza od chwili, kiedy zaczęło się Jej męczeństwo. Zawsze pamiętajcie o pięknych wskazaniach Waszej Matki!

Miał zapewne na myśli gryps Maryli do Anny i Izabelli-Teresy (Hani i Reni), który doręczył im przed kilku tygodniami:

Moje Najdroższe Córeczki! Strasznie żałuję, że prawdopodobnie nie otrzymałyście listu wysłanego na wasz nowy adres krakowski przed miesiącem. Prócz do was były tam też listy do babci i Jasia, do cioci Jagusi i do wujka Witolda. Ukochane moje, strasznie cieszyłabym się z waszej fotki (...) wyślijcie babci lub wujkowi Witoldowi, to on dołączy do paczki do mnie, bo teraz można już doręczać fotografie rodzinne. Moje wy Skarbonie cudne, gdybyście wiedziały, jak ciągle jestem z wami myślą — z myślą o was, z modlitwą za was na ustach zasypiam wieczorem i budzę się rano. Przeszła rok, jak was nie widziałam — i to w czasie, gdy młodzież najczęściej się rozwija i zmienia. Tak mi smutno, że tak mało wiem o was, że prawie was nie znam! Tylko kocham was coraz mocniej i goręcej i chcę, byście to zapamiętały sobie na wypadek, gdybyśmy się już nigdy nie miały



zobaczyć. (...) Córeczki moje najmilsze, to, co wam w tej chwili napiszę, pisałam wam już nieraz, lecz nie wiem, czy to doszło do waszych rączek, więc nie dziwcie się, że jeszcze to powiem, że pragnę gorąco tego, byście nie były egoistkami, byście były dobre, szczęśliwe, lecz by szczęście wasze polegało przede wszystkim na czystym jak brylant sumieniu, nie na brylantowych klejnotach. Pragnę, by was ludzie kochali, pragnę, byście wносиły miłość, gdzie panuje nienawiść; przebaczenie, gdzie krzywda; pokój, gdzie niezgoda; nadzieję, gdzie rozpacz; uśmiech, gdzie smutki. Byście pragnęły raczej pocieszać niż być pocieszane, rozumieć innych niż być rozumiane, kochać niż być kochane. (...) Wasza M.

To było ostatnie już do dzieci listowne przesłanie Maryli. W owym okresie z częstochowskiego więzienia raz po raz wywoływano więźniów z cel; nie powracali już ani tam, ani do domów. W jednym z grypsów Maryla doniosła Witoldowi, że są to wywózki na rozstrzelanie i że egzekucje te odbywają się w lasach pobliskiego Olsztyna, i że boi się podobnego końca.

Ale nie był to jeszcze, tutaj — w Częstochowie, i tam — w olsztyńskim lasu — kres jej męczeńskiej drogi. Tuż przed datą, którą uważać można za dzień wywiezienia jej do Ravensbruck, zdołała wysłać jeszcze do Witolda „przewidywanie losu” — juk to później określił adresat — zawarte w wierszu ułożonym na melodię rewolucyjnej pieśni. Zachowała się w pamiętnikach córek po matce i ta karteczka:

Nie dbam, jaka spadnie kara,  
nie dbam, co się ze mną stanie,  
Ty wiesz jeden, Chryste Panie,  
że w nas żyje mocna wiara,  
że się skończą krwawe gody,  
że choć z nas niejeden zginie  
w ciemnym lesie na Olsztynie  
— błysną jasne jutra wschody!  
A kiedy nas osadzicie  
za żelaznymi kratami  
— nasza wiara będzie z nami!  
Wolnych serc nie uwiezicie!  
A jeśli nas wywieziecie,  
osadzicie w jakimś Dorfie  
— pracując przy czarnym torfie  
będziem śnić o lepszym świecie!

#### Ziemia bez słońca

Jechała wciśnięta w kąt wagonu razem z innymi skazanymi na ten sam finał podróży. Obrzydliwe wilgotnym zimnem godziny, długie i mroczne; prostokąt okratowanego okienka wysoko w górze nie pozwalał rozpoznać pory dnia, ani ujrzeć miejscowości czy choćby tylko nazw stacji, przez które według ścisłego rozkładu pociągu specjalnego wieziono je nie znaną im trasą. Potem wagony zaczęły zwalniać, mocniej trząść; zgrzytanie; aż w końcu w ciemności znaczonej skąpymi światełkami i krótkimi szczekliwymi rozkazami, które wystrzelały wokół stłoczonej więziennej masy ludzkiej, popędzono je w śniegu i mrozie do ciężarówek.

Była już zima i gdy Maria Stachelska z domu Wrzosek znalazła się rankiem w obozie, szron pokrywał dachy baraków. W celi przy okiennych szparach, z sufitu, zwisały sople lodu. Wszystko tu ściśle określone, zorganizowane, według numerów, rytuał godzin, trasy od bloków — do stacji ostatecznej; miało to zakrawać na porządek, a w rzeczywistości nabierało w tych granicach „ordnungu” barw straszliwego koszmaru. Bunkier — parter: 40 cel, suterena — 3b, numer 54 — cela śmierci. Obsługa murowanego bunkra — to badaczki pisma świętego z kalefaktorką Falkowską o imieniu Ojcumiła — na czele. Więźniarki skazane na śmierć były o oznaczonej godzinie zawiadamiane przez obozowego gońca o konieczności stawienia się w kancelarii. Szły tam razem z blokową. Po dokładnym sprawdzeniu danych personalnych zostawały odprowadzane do celi bunkra. Tam spędzały czas obiadu i tam pod wieczór dostawały do picia kawę zmieszana z

dużą dawką uspokajającego płynu oraz słowa pocieszenia od badaczek na nowe, wieczne życie. Gdy przychodziła pora wieczornego apelu, nie było już ich w szeregu współwięźniarek, zamknięty samochód, tzw. „mina”, wiozł je na śmierć. Za „miną” ciągnęła ciężarówka wypełniona już wcześniej przez obsługę bunkra — trumnami skleconymi z surowych desek o ściśle określonych na piśmie wymiarach. Zanim od kwietnia 1943 roku „ulepszono” ten proces, budując krematorium, ciała wieziono do miasteczka Furstenberg.

Wanda Kiedrzyńska w swej dokumentalnej książce pt. „Ravensbruck. Kobięcy obóz koncentracyjny” wymienia wśród wielu ofiar zamordowanych w 1941 roku, zaliczonych do politycznych, „pierwszą Polkę rozstrzelaną w Ravensbruck, Wandę Maciejewską z Częstochowy. Rozstrzelano ją 1 lutego 1941 roku. Była mieszkanką bloku 16 (strona B)”. A nieco dalej autorka podaje informację o niektórych więźniarkach Polkach, które zginęły w egzekucjach o nie ustalonej dacie i których dokładnych personaliów nie dało się ustalić. Przypomina jednak niektóre nazwiska m.in.: Mildnerową z Ćmielowa, Pilchową ze Śląska oraz Stachelską.

To nazwisko Maryli bez imienia i bliższych danych powtarza się w książce jeszcze raz. Jest to informacyjnie nieco dokładniejszy przekaz o losie naszej bohaterki: „W tym czasie zginęła również bez śladu Stachelska z bloku 13, która poszła do bunkra i nie wróciła”. A więc obozową koleją rzeczy mogła już jedynie liczyć na kawę z uspokajającym lekiem, pocrzepiający słowny wiatyk na wieczną drogę z ust którejś z litościwszych badaczek. I ten obraz można było ujrzeć wyobraźnią, gdy przeczytało się to zdanie pieczętujące los Marii w książce Wandy Kiedrzyńskiej.

W istocie — Ravensbruck i Furstenberg nie były ostatnimi przystankami na jej męczeńskiej drodze. Bo oto jeszcze w początkach 1942 roku ktoś przyniósł matce Maryli kawałek brudnego kartoniku opatrzonego adresem pod który miał dotrzeć. Nagryzmołona ręką Marii informacja: „Kochani, żyję, wiozą mnie znów w nieznaną” była ostatnim od niej znakiem życia. Obca osoba, która przyniosła kartonik, dodała, że kartka ta została prawdopodobnie wyrzucona z ciężarówki na drogę, gdyż znaleziono ją w pobliżu Radomia na skraju szosy.

Nie minęło pięć tygodni, gdy w marcu 1942 roku, z przerażającą w tych wypadkach pedanterią niemieckich urzędów, radomskie gestapo zawiadomiło pismem matkę Maryli, że córka zmarła na zapalenie płuc.

Nie dowiemy się już nigdy, co czuła, o czym myślała i śniła w tych ostatnich godzinach życia: o wolnej Polsce, o dzieciach, matce, Emilu czy narzeczonym?...

Odeszła, gdy niebo nad jej ziemią było jeszcze czarne i zamknięte, a ludzie spragnieni świtu i słońca. Może podobnie jak poeta w dniach kończących jego wędrówkę po tej ziemi, śniła „Sen najpiękniejszy z snów! — Przyroda! - Jedyne Bóg: słońce!” I może tak jak i on czuła błogość ciepła, zapach macierzanki i mięty; „wiatr przechyla usychające żdźbła trawy”, las o świcie rozzielenia się z szelestem, „wschodzące słońce pokrywa las złotem”, śpiewają świerszcze, południowy żar, potem gwiazdna noc, świetliki latające jak gwiazdy... Miękka, ciepła fala jak matczyzna kołysanka unosi z ciemności. Światło! Niebo nie jest już czarne i zamknięte. Cichną strwożone ptaki i nastaje „chwila wielkiego znużenia, najdalsza od nienawiści”.